



**PRACE**  
**DRAMMATYCZNE**  
J. S. JASIŃSKIEGO.

---

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*

---





Akt I Scena IV

J. P. Szymanowski [w roli: Hortensja w kost: Krzyżyk złoty]

*Witam was panienki czy panie, przyjmijcie moje uszanowanie.*

*Tom III Prac Dramatycznych J. Szymanowskiego.*

Egz. archiwalny IBL

# PRACE

## DRAMMATYCZNE

TLUMACZONE I ORYGINALNE

J. S. JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

INSTITUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-200 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

Tom III.

WARSZAWA.

1838.

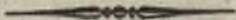


## SPIS SZTUK

W TOMIE TRZECIM ZAWARTYCH.

---

	Stron.
1. <i>Babunia</i> , Komedjo-Opera w jednym akcie . . . . .	4.
2. <i>Krzyżyk złoty</i> , Komedia we dwóch aktach . . . . .	55.
3. <i>Lucja czyli Pamiątka</i> , Komedia we dwóch aktach . . . . .	137.
4. <i>Skutki oddalenia</i> , Komedjo-Opera w jednym akcie . . . . .	205.



1204/3



**BABUNIA**  
**KOMEDJO-OPERA**

W JEDNYM AKCIE

ORYGINALNIE NAPISANA.



GRANA PIERWSZY RAZ

W DAWNYM

**TEATRZE ROZMAITOSCI**

*dnia 2 Lutego 1832 r.*

## O S O B Y.

PANI MAMIŃSKA, babunia	JPa. <i>Żółkowska.</i>
PAN WINOWSKI	JP. <i>Niwiński.</i>
MARJA, wnuczka p. Mamińskiej	JPa. <i>Żulińska.</i>
ALFRED, synowiec p. Winowskiego	JP. <i>Jasiński.</i>
ZUZIA, pokojówka Marji	JPa. <i>Werowska.</i>

(Rzecz dzieje się w wiosce pani Mamińskiej, niedaleko Kalisza.)

# BABUNIA.

## SCENA I.

*(Teatr wystawia salon wiejski, pięknie umeblowany, po lewej stronie stolik, na którym robota kobieca i książki; po prawej drugi stolik, a na nim pończocha z drutami, małe pudełko z okularami i toaleta; we środku główne wejście, po prawej drzwi prowadzące do gabinetu pani Mamińskiej.)*

ZUZIA. *(sama, sprzątając nuci sobie z cicha)*

To już i po pracy, wszystko jest na swoim miejscu, krosienka dla panny Marjanny, okulary i pończocha dla pani Mamińskiej. O okularach zawsze pamiętam, lubo nie wiem prawdziwie jak sobie z nimi postępować, bo raz pani gniewa się na mnie, kiedy je położę, drugi raz w złość wpada, kiedy je zapomnę podać. Trudno dogodzić, dalibóg gdyby nie panna, która jest dobrocią samą, jużbym dawno tę służbę porzuciła. Zawsze tak smutno, bodaj to

w Kaliszu, tam przynajmniej chociaż codziennie nasłuchałam się kazań, w wieczór przy lubym o wszystkim się zapominało. A tu, Boże odpuść, nie ma nawet i z kim pomówić; wprawdzie pan ekonom przystojny człowiek, ale zawsze myśli, że jest na polu; i kiedy weźmie za rękę, to zdaje mu się, że jakiego Maćka do pracy napędza, jeszcze od wczoraj znać pięć palców. Zeby choć w domu się bawiono, ale kto?... ksiądz proboszcz, pan Winowski wuj pana Alfreda sąsiad nasz, grają sobie w marjasza, pani moja z panem Alfredem cały wieczór prowadzi kącikową gawędkę, a panna albo drzémie albo ze mną rozmawia. Ja sama wzdycham do miasta i razu pewnego...

SPIEW Nro 1.

Ledwie oczy zamrużyła,  
Zda mi się żem w mieście była,  
Ciśnie się chłopców gromada,  
Ja każdemu z duszy rada.

\*

Jeden z nich najlepszych chęci,  
Chowam go dotąd w pamięci,  
Oświadcza się, jam szczęśliwa,  
Już mię swą żoną nazywa.

Tany huczne, oczepiny,  
Już po tanach, serce było.  
Mężu, wołam, mój jedyny!... —  
Lecz to mi się tylko śniło.

Budzę się, nie ma nikogo, to mi dom weso-  
ły, i gdybym czasem sama nie rozrywała nu-  
dów wspomnieniami przeszłości, umarłabym  
z tęsknoty.

## SCENA II.

MARJA, ZUZIA.

ZUZIA. (*widząc wchodzącą Marję, staje na boku*)

MARJA. (*wchodzi niespostrzegając Zuzi, za-  
myślona i w nienajlepszym humorze; pauza, nu-  
dzi sama sobą, nie wie co robić, idzie do tam-  
borka, szuka igły, bierze bawelnę, i trzyma ją  
w ręku.*)

Ah mój Boże! nie ma bawelny... gdzież się  
podziała?... niewiem gdzie wczoraj położyła;  
eh... nie będę jeszcze robić, (*kładzie bawelnę*)  
ha... otóż jest... miałam ją w ręku (*wstaje, idzie  
do lustra, poprawia włosy*) prawie całą noc nie  
spiałam dzisiaj... sama nie wiem dla czego. Co  
babunia na to powie? będzie znowu łajala, a ja  
temu nie winiam; ah, żeby to ona choć raz

całą noc nie spała, pewnoby dla mnie była powolniejszą.

ZUZIA. (n. s.)

Biedna panniunia, wszystko babuni powiada jak na spowiedzi.

M A R J A.

Śniło mi się... nie, to mi się nie śniło... oh nie, pamiętam dobrze, pan Alfred...

ZUZIA. (n. s.)

Pan Alfred... no to już się domyślam przyczyny bezsenności...

M A R J A.

Tak, to było na jawie, wczoraj w wieczór odchodząc uścisnął moją rękę.

ZUZIA. (n. s.)

Ale pewno nie tak jak ekonom... brzyda! przekłety!

M A R J A.

Tak nigdy nie było... myślałam co to znaczy przez noc całą, i nie domyśliłam się przyczyny.

ZUZIA. (n. s.)

Szkoda, że mnie się nie zapytała.

M A R J A.

Ale babunia mi może powie, (*słychać kaszel p. Mamińskiej*) ale, otóż ją słychać, nie wiem czego się tak dziś obawiam babuni, prawda, że ona mię bardzo często gromi, ale... ja zawsze

miałam zwyczaj słucać tego wszystkiego tylko jednym uchem.

ZUZIA. (*n. s.*)

Patrzcież, jak sobie radzić umiała.

M A R J A.

Zuzi nie widać, a już wszystko zdaje się posprzątane. Babunia przyjdzie, a jak jej nie zastanie, to się znowu będzie gniewać.

ZUZIA. (*n. s.*)

Dobre serce.

MARJA. (*z cicha wołając*)

Zuziu! Zuziu!

ZUZIA. (*niby wchodząc*)

Jestem, co panienka każe?

M A R J A.

Nic, moja Zuziu, ale babunia pewno zaraz przyjdzie... może cię będzie potrzebować.

Z U Z I A.

Co to jest panience, jesteś taka blada, nawet oczy masz zapłakane.

MARJA. (*przełękła*)

Doprawdy! (*chuchając na chustkę, wyciera nią oczy*) Ja nie płakałam, wierz mi Zuziu, doprawdy... (*zatrzymuje się*) o tak, ja płakałam, ale tylko trochę, jak babunię kocham, trochę tylko, ale już pewno nie znać...

Nie bardzo... ale panienska tak blada...

M A R J A.

Ah mój Boże, co babunia na to powie?! ah cóżem ja temu winna, że jestem blada, a babunia powiada, że panna zawsze rumieńce mieć powinna. (*trze twarz chustką*) A co, teraz jużem czerwona?

Z U Z I A.

Tak, dosyć.

M A R J A.

Albo wiesz co, pójdę do toalety, babuni i umaluję się tą farbą...

Z U Z I A.

A niech Bóg zachowa, a z kąd to panienska wie o tém?... a pfe! to tylko babuni wiedzieć o tém wolno.

M A R J A.

No to ja już nie wiem, moja Zuziu, nie, ja nie widziałam nigdy, żeby babunia co rano się malowała. Ale powiedz mi, czy babunia nie pozna, że ja płakała?

Z U Z I A.

Nie pozna; ale czegoż to panna płakała?

M A R J A.

Ja sama nie wiem czego, nie mogłam spać i dla rozrywki płakałam.

Z U Z I A.

Dla rozrywki! a to szczególniejsza!



M A R J A.

Wierz mi Zuziu, mnie lzy często są wielką -  
ulgą. Kiedy najsmutniejsza jestem i zapłacę  
sobie skrycie, zaraz mi lepiej.

Z U Z I A.

Czy to dawno jak panienka we łzach pocie-  
chę znajduje?

MARJA. (*zapomniawszy się*)

Od imienin babuni; (*przypomniała sobie*) oh  
nie! nie! ja i przed imieninami płakałam.

ZUZIA. (*n. s.*)

Aha! od imienin babuni! w tym dniu pierw-  
szy raz pan Winowski przyszedł ze swoim sy-  
nowcem Alfredem...

M A R J A.

Co ty mówisz Zuziu do siebie?

Z U Z I A.

Ja nie nie mówiłam.

MARJA. (*nieśmiało*)

A ja słyszałam, żeś o panu Alfredzie mówiła.

Z U Z I A.

Ah tak, może... no i coż... (*zbliżając się do  
niej filuternie*) ten pan Alfred...

MARJA. (*z spuszczonej oczyma*)

Cóż... ja właśnie ciebie chciałam się zapytać.

Z U Z I A.

O co?

( 10 )

M A R J A.  
Ja nie wiem...

Z U Z I A.  
Szczerze?

M A R J A.  
Eh!.. tak.. nie.. moja Zuziu!..

Z U Z I A.  
Słucham.

M A R J A.  
Ty nic nie powiesz?

Z U Z I A.  
Komu?

M A R J A.  
Jemu.. babuni.

Z U Z I A.  
Cóż ja mam powiedzieć?

M A R J A.  
Ale bo... widzisz... ja myślę...

Z U Z I A.  
Widzę to.

M A R J A.  
Dostrzegłaś! czy ja tak widocznie myślę?

Z U Z I A.  
Ja przynajmniej odgadłam to do razu, że pan-  
na myślisz... tylko o czym?.. tego nie wiem.

M A R J A.  
I ja nie wiem.

DWUSPIEW NRO 2.

M A R J A.  
Babunia myśl mą zajmuje.

Z U Z I A.  
Czy doprawdy?

M A R J A.  
Nie inaczej.

Z U Z I A.

Niech mi pan ieuka wybaczy,

Lecz on...

MARJA. *(zapomniawszy się)*

Jak lekko walcuje.

Z U Z I A.

Mówił pięknie...

M A R J A.

Wprost do duszy.

Kogóż tkliwość ta nie wzruszy?

Z U Z I A.

Zwłaszcza gdy się zbliżał ku niej,

M A R J A.

Ah ja myślę o babuni!

Z U Z I A.

To być nie może. Powiedz mi panienka szczerze, czy kto zajmuje jej myśl?

MARJA. *(prędko)*

On... babunia.

ZUZIA. *(powtarzając)*

On, babunia, nie rozumiem...

M A R J A.

Cicho, cicho moja Zuziu, później z tobą pomówię. Słyszę babunię. *(biegnie do roboty)*

Z U Z I A.

Uciekajmy, bo może znowu zrzędzić zacznie. *(wybiega)*

### SCENA III.

MARJA, P. MAMIŃSKA

MAMIŃSKA. *(blada, w rannym ubiorze; wchodzi, a widząc że Marja nie biegnie ją przywitać)*

Marjo! Marjo! cóż to, zapominasz się?

MARJA. *(porywa się z krzesła i całuje ją w rękę, potem znowu idzie do krosienek)*

MAMIŃSKA.

Dzień dobry moje dziecię; dla czegoż to dziś nie powitałaś mię?

MARJA.

Nie?... przebacz babuniu, przebacz!.. *(zmieszana wstaje, idzie zwolna do babuni, i nie doszedłszy wraca się)*

MAMIŃSKA. *(zbliża się do Marji i bierze ją za rękę, ona odwraca twarz i chustką oczy i policzki ociera)* Cóż ci to Marjo, takeś blada, oczy nawet zapłakane?.. co ci to jest?

MARJA. *(przestraszona)*

Ja mam oczy zapłakane?.. ha, to ze śmiechu!

MAMIŃSKA

Kłamiesz.

MARJA. *(prędko)*

Z płaczu, babuniu.

MAMIŃSKA.

Czegożeś płakała? dziewczyna w twoim wie-

ku powinna być wesołą, swobodną jak ptak;  
twoje kanarki widzisz jak są zawsze wesołe.

M A R J A.

Bo ich jest dwoje.

M A M I Ń S K A.

Aha! dwoje! co ja słyszę! no proszę... zkadźce  
panience to na myśl przyszło... dwoje! to jużes  
myślała o tém? a pfe! mościa panno, w jój wie-  
ku, lat 16, któz jój dał powód do takich myśli,  
zapewne Zuzia...

MARJA. (*prędko*)

O nie Zuzia.

M A M I Ń S K A.

Pewno pan Winowski?

M A R J A.

On taki stary.

MAMIŃSKA. (*n. s.*)

To pewno Alfred, ale wiem: że on ani razu  
jeszcze z nią nie mówił i mówić nie będzie, ni-  
gdy na to nie pozwolę. (*głośno*) Mościa panno  
do roboty, a jak cię zobaczę jeszcze raz zapła-  
kaną, to cię zamknę w twoim sypialnym poko-  
ju na tydzień przynajmniej.

M A R J A.

Oh nie, nie, już nie będę nigdy płakać kie-  
dy babunia nie każe, albo nie da pozwolenia.  
(*idzie do roboty*)

MAMIŃSKA. (*siada przy stoliku, bierze okulary i robi pończochę*)

(*do siebie*) Oh moja Marja!... źle, prawda już ma szesnaście lat, w jej wieku byłam już za mężem. Co tu czynić? czy lichy podszeptało panu Winowskiemu sprowadzić tu synowca, a nie uwiadomić mię wprzód o tém, byłabym dziewczynę oddała. Alfred, przystojny mężczyzna, mogłaby sobie nim głowę zawrócić, a jemu nie takiej żony potrzeba; lepiejby uczynił biorąc osobę w dojrzałym wieku, doświadczoną, z charakterem stałym, znającą świat. W istocie, bardzo mi się podobał, on nie dla Marji, nie, nie pozwoliłabym nawet na to. Jednakże należałoby się pierwój pozbyć wnuczki z domu, bo niebardzo przyjemnie dla ubiegającego się o rękę, gdy na jego przyszłą ze wszech stron wołają: „Babuniu! babuniu!”

MARJA. (*przez cały ten monolog, zaczęła haftować, potem zamysliła się, głowa jej coraz opada, nareszcie usypia na tamborku.*)

M A M I Ń S K A.

Co widzę, Marja śpi. (*budząc ją*) Marjo! Marjo!

MARJA. (*przebudzona*)

Co chcesz babuniu!

MAMIŃSKA. (*n. s.*)

Otóż mamy, zaraz babuniu, co słowo babuniu, (*głośno*) co się to ma znaczyć? ty spałaś.

M A R J A.

Nie—tak, zdrzemnęłam się trochę.

MAMIŃSKA. (*n. s.*)

Oj źle... coś nie dobrze idzie, 16 lat, niepokój wkrada się do duszy, oj pamiętam ja tę chwilę, przykro było kaducznie.

MARJA. (*wychodząc z zamyślenia przybiega*)

Co babunia każe?

M A M I Ń S K A.

Hę?

M A R J A.

Babunia wołała?

M A M I Ń S K A.

Nie.

M A R J A.

Nie?... babuniu, przejdę się po ogrodzie.

M A M I Ń S K A.

Dobrze. (*Marja odchodzi.*)

## SCENA IV.

MAMIŃSKA, MARJA, ZUZIA (*wbiega*)

Z U Z I A.

Pan Winowski i pan Alfred zajechali na podwórze.

M A M I Ń S K A.

A ja jeszcze nie ubrana! Zuziu, poproś ich tu, niech zaczekają chwilę. (*do Marji, która usłyszawszy doniesienie Zuzi, wróciła*) A czemuż nie idziesz do ogrodu?

M A R J A.

Lepiej zostanę moja babuniu?

MAMIŃSKA. (*odchodząc*)

Przejdź się, przejdź, będziesz spokojniejsza. (*odchodzi.*)

## SCENA V.

WINOWSKI, ALFRED, ZUZIA, MARJA. (*która we drzwiach zatrzymał Pan Winowski.*)

W I N O W S K I.

Gdzież tak śpiesznie, zapewne nasze przybycie pani nieprzyjemne?

MARJA. (*spoglądając na Alfreda*)

O nie, bynajmniej.

A L F R E D.

Luba dziewczyna!

W I N O W S K I.

Ha, kiedy tak, to proszę nas nie opuszczać.

M A R J A.

Babunia kazała iść do ogrodu.

ZUZIA. (*do Marji zcicha*)

Eh co tam babunia!... ale kiedy panowie proszą to niegrzecznie.



M A R J A.

To ja się zostanę.

ZUZIA. (*do siebie*)

Byłaby i tak została.

ALFRED. (*do Marji*)

Pani tak coś zdaje się być smutną.

M A R J A.

Ja... nie... (*do Zuzi*) Ah moja Zuziu, ratuj mnie!

Z U Z I A.

O tak, to prawda, że jest smutną, babunia panienkę wylażała.

A L F R E D.

A to za co?

M A R J A. (*wyrywając się.*)

Zem całą noc nie spała i płakała.

A L F R E D.

Jakto pani nawet płakała, jakiz powód był tych łez.

Z U Z I A.

Powód?... łatwo się go domyśleć, z pewnością nawet odgadnąć można. Wszakże i rozwita róża ze łzami porannej rosy, oczekuje powitania Zefira.

M A R J A. (*ciągnąc ją za rękę*)

A jej, Zuziu co ty mówisz, przecież nie wiesz, że pan Alfred jest tym Zefirem.

W I N O W S K I.

Słuchajno, coś tam o tobie mowa, domyślasz

się teraz, co te górne słowa przemądrej subere-  
tki znaczą.

A L F R E D.

Mojemu szczęściu nie nie wyrówna. Miłość  
Marji, byłaby najdroższym skarbem. Wuju, cóż  
ty na to?

W I N O W S K I. (n. s.)

Tam do biesa! a czy mię licho podkusiło,  
żem tego trzpiota tu sprowadził. (*głośno*) To  
trudno, nie wiem czy pani Mamińska zezwoli.

A L F R E D.

Oświadczę się Marji.

W I N O W S K I

O tak zaraz, obcesowo,... a wzdychania, a na-  
mysty... dajże pokój, biedna dziewczyna zapłó-  
niłaby się ze wstydy. Muszę wprzódypomówić  
z panią Mamińską.

A L F R E D.

A jeżeli Marja nie zechce.

W I N O W S K I.

Pewno nie zechce takiego wartogłowa.

ZUZIA. (*dostyszawszy*)

Przeciwnie panno, wszak prawda, iż zezwo-  
lisz?...

A L F R E D.

Jakto zezwoli?...

Z U Z I A.

Pewna jestem.

W I N O W S K I.

Bodajżeś oniemiała. konsyljarko przekłeta!

M A R J A.

Zuziu, na co ja mam zezwolić.

A L F R E D.

Na moje uszczęśliwienie.

M A R J A.

Jeżeli to tylko odemnie zależy będzie, na wszystko przystanę.

W I N O W S K I.

Otóż mamy, ale to trochę za prędko.

A L F R E D.

Cóż wyrówna mojej radości. (*całuje ją w rękę.*)

MARJA. (*do Zuzi.*)

Zuziu, on mię znowu ścisnął za rękę.

Z U Z I A.

Będzie tego więcej.

MAMIŃSKA. (*za sceną*)

Zuziu! Zuziu!

Z U Z I A.

Oho! otóż i nasza pani!

M A R J A.

Ja uciekam.

A L F R E D.

Opuszczasz nas.

Z U Z I A.

Już Zefir powitał różę.

M A R J A.

Muszę iść do ogrodu, bo babunia by się na mnie gniewała. Zegnam. (*odchodzi i wraca prędko*) Ale pan nie odejdzie nie zobaczywszy się jeszcze raz ze mną.

W I N O W S K I.

Oh będziemy się jeszcze widzieć.

A L F R E D.

Może pani długo będziesz bawić w ogrodzie.

M A R J A.

Ja nie wiem, ale gdybym nie wróciła (*zicha*) to ja tuż przy sztachetach spacerować będę.

Z U Z I A.

Ale tam wielkie słońce.

M A R J A.

Eh ja się schowam pod tę gałąź bzu, po prawej stronie fórtki. (*wybiega ukłoniwszy się.*)

Z U Z I A.

Piękny spacer pod jednym krzakiem bzu! O miłości! ileż to trudów cię poprzedza, ale nagroda... warto pocierpieć. (*odchodzi do gabinetu p. Mamińskiej.*)

## SCENA VI.

AKFRED, WINOWSKI.

(*nieco później*) MAMIŃSKA.

A L F R E D.

Nicoszacowana dziewczyna, jaka szczerść, prostota...

W I N O W S K I.

Eh co tam myśleć o takim dziecięciu, to się na nic nie przyda wierzaj mi mój Alfredzie.

DWUSPIEW NRO 3.

WINOWSKI.

ALFRED.

Młoda żona,  
Wielka bięda,  
Niedoświadczona,  
Szcęścia nan nie da.  
Mądrość z wiekiem  
W parze chodzi,  
Cnoty stekiem  
Starość wodzi.

Starą żona,  
Wielka bięda,  
Przedoświadczona,  
I żyć mi nie da.  
Na uciech łonie  
Ten oset zbiera,  
Kto w starej żonie,  
Ma guwernera.

R A Z E M.

Mądrość z wiekiem  
W parze chodzi  
Cnoty stekiem  
Starość wodzi.

Na uciech łonie  
Ten oset zbiera  
Kto w starej żonie  
Ma guwernera.

W I N O W S K I.

Tobie wypadaloby wziąć żonę już w wieku dojrzałym.

A L F R E D.

Tak naprzykład, jak ta panienczka co tu nadchodzi.

W I N O W S K I.

Cicho bądź.

MAMIŃSKA. (*wystrojona, wchodzi klaniając się kilkakrotnie, pan Winowski każdy jój ukłon oddaje wzajemnie.*

(*z słodyczą*) Mam honor i największą przyjemność...

WINOWSKI. (*do Alfreda*)

Słyszałeś, największą przyjemność.

ALFRED. (*do wuja*)

Słyszałem, mniejsza o to.

MAMIŃSKA. (*patrząc na Alfreda*)

Jakże zdrowie?

WINOWSKI. (*widząc, że Alfred nie odpowiada*)

Jak najlepsze.

M A M I Ń S K A.

Przepraszam, pytałam się o zdrowie pana Alfreda.

A L F R E D.

Do usług pani dobrodziejki.

W I N O W S K I.

I ja toż samo na wszelkie usługi.

MAMIŃSKA, (*n. s.*)

Przystojny chłopiec.. wcale przystojny, zaczynam się lękać, żeby mi go moja Marja nie pochwyciła...

WINOWSKI.. (*do Alfreda*)

Tylko przypatrz się, jaka jeszcze świeżość na twarzy, to jak róża.

ALFRED. (*do Wujka*)

Malowana.

## SCENA VII.

CIŻ I ZUZIA.

Z U Z I A.

Przyniesiono list.

M A M I Ń S K A.

Z poczty?

Z U Z I A.

Tak jest, (*gdy Mamińska rozpieczętowała list, Zuzia przynosi jej okulary*) proszę pani okulary.

MAMIŃSKA. (*rozgniewana rzuca okulary na ziemię.*)

Głupia dziewczyna, na co okulary, cóż to myślisz, że ja już nie widzę bez okularów. (*do gości*) Ze czasem, wieczorem... dla zabawki ich używam, to sądzi, że... (*n. s.*) nie wiem co mówię, co sobie kochany Alfred pomyśli, miłość w okularach. (*chodzi rozgniewana i zapomina list czytać.*)

Z U Z I A.

Ale bo pani raz widzi dobrze, drugi raz źle, więc ja nie wiem jak pani mam usłużyć, ale od tej chwili (*patrząc na Alfreda*) wiem dobrze, kiedy pani okularów używać nie będzie.

MAMIŃSKA. (*patrzac na Alfreda*)

Przepraszam panów (*z niskim i wdzięcznym ukłonem*) rozgniewalam się mimochętnie, to mi się bardzo rzadko wydarza, nie prawdaż Zuziu? (*głaszcze ją pod brodę.*)

Z U Z I A.

Temu nikt nie zaprzeczy, czego najlepiej dowodzi to, że wszyscy panią nazywają najlepszą, najukochańszą, najdroższą... babunią...

MAMIŃSKA. (*która tych pochwał słuchala z największą radością i skromnością, na wyraz babunią, wpada w gniew i z krzykiem prawie mówi*)

Precz mi zład głupia dziewczyno... żadnego uszanowania, otóż to są dziewczyny z miasta. (*Zuzia odchodzi.*)

## SCENA VIII.

CIŻ *bez* ZUZI.

W I N O W S K I.

Przebacz pani, nierozważnej...

M A M I Ń S K A.

Proszę mi dać pokój.

ALFRED. (*bierze ją za rękę i całuje z uszanowaniem*)

Niech się pani nie unosi zbyt, tego nikt nie słyszał...



MAMIŃSKA. (*zupełnie udobruchana*)

Juzem o wszystkim zapomniała, skoro pan Alfred mówi, iż nikt tego nie słyszał, tedy pewna jestem, że i sam zechce puścić w niepamięć nierozwagę tej głupiej dziewczyny.

A L F R E D.

Nie mówmy już nawet o tém...

W I N O W S K I.

Bardzo słusznie, teraz racz nam pani darować, że znając gościnność i życzliwość pani dobrodziejki dla przyjaciół jej domu, ośmieliliśmy się bez poprzedniego uwiadomienia przybyć.

MAMIŃSKA. (*patrząc na Alfreda*)

Ich przytomność jest mi najprzyjemniejszą, i to zaufanie w mojej życzliwości, jest tém, czego oddawna pragnęłam.

W I N O W S K I.

Pani... istotnie. (*do Alfreda*) No cóż, gdzie się patrzysz, czy nie widzisz, że do ciebie mówią, odpowiedź też parę słów.

A L F R E D. (*do Winowskiego*)

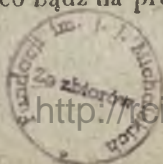
Kiedy Marja w ogrodzie, to ja i kilka wyrazów złapać nie mogę.

W I N O W S K I. (*do Alfreda*)

Powiedz co bądź na prędce.

Tom III.

3\*



ALFRED.

Pani!... (*Mamińska słucha z natężeniem*) Jęj dobroć... czy panna Marjanna prędko powróci z ogrodu?

MAMIŃSKA.

Nie tak prędko, (*n. s.*) myślałam, że to co innego będzie.

WINOWSKI.

Mniejsza o pannę Marjannę...

MAMIŃSKA.

I ja tak mówię, to dziecko, nie ma nawet o czem myśleć.

WINOWSKI.

W istocie; dla tego też mój Alfred, który od początku swego wychowania okazywał, że sprzyja tylko temu wszystkiemu co piętno dojrzałości, doskonałości nosi na sobie, pewny jestem, że i teraz tej samej drogi nie opuści, zwłaszcza, że mu ona tak czarującą ukazuje przyszłość.

MAMIŃSKA.

Bardzo piękny sposób myślenia pana Alfreda; oh, gdyby tak wszystka młodzież takich zasad trzymać się chciała!

ALFRED. (*do Winowskiego*)

Toby wszystkie stare mężów jeszcze podostawały.

WINOWSKI. (*do Alfreda*)

Cicho bądź. (*głośno*) Ja też szczycę się z te

go względu sposobem myślenia mojego Alfreda... i gdyby pani dobrodziejka odgadnąć mogła, ile powabnemi są dla niego szanowne przymioty pani dobrodziejki...

ALFRED. (*ciągnąc wuja za suknię*)

Wujaszku, bój się Boga! chcesz mię zgubić.

WINOWSKI. (*do Alfreda*)

Cicho! (*głośno*) jej... przymioty duszy, wzbudzają w jego umyśle wspomnienie...

ALFRED. (*cicho*)

Wspomnienie, że djable stara.

M A M I Ń S K A.

Co pan Alfred mówił?

W I N O W S K I.

Mówił, że stara się wszelkimi sposobami...

M A M I Ń S K A. (*upojona radością*)

Miło mi jest słyszeć z ust pana Winowskiego, ale daleko milejby mi było, gdyby sam pan Alfred raczył to potwierdzić.

ALFRED. (*do wuja*)

Otóż masz, dalibóg, z wujaszka przyczyny ja głupstwo popelnię.

M A M I Ń S K A.

Jakże, czy nic nie usłyszę?

W I N O W S K I.

I owszem, mówił, że dopełni.

ALFRED. (*n. s.*)

Uwziął się na mnie. (*głośno*) Tak, pani dobrodziejko, mój wuj istotną powiedział prawdę.

M A M I Ń S K A.

Czy tak? cóż wyrówna mojej radości.

A L F R E D.

Ze przymioty pani dobrodziejki, lubo w tym wieku...

W I N O W S K I.

Są jednak bardzo powabne.

A L F R E D.

Dla wszystkich, którzy...

W I N O W S K I.

Którzy cię pani znają, a mój Alfred ma się za najszcześniejszego...

A L F R E D.

Ze taka osoba...

W I N O W S K I.

Raczy go zaszczycać swojemi względami.

M A M I Ń S K A.

Ale pan Alfred zapewne co innego chciał powiedzieć. (*n. s.*) Aj ci starzy mężczyźni to tylko o względach mówić umieją. (*głośno*) Dokończ panie Alfredzie.

A L F R E D.

I gdyby jej dobroć tak znana!... lecz nie śmiem z obawy...

M A M I Ń S K A.

Ośmiel się, ośmiel, zawczasu przyrzekam, że

gniewać się nie będę, mógłżebyś bowiem na to zasłużyć?

WINOWSKI. (*n. s.*)

Oj to, to, jak się babunia zapala, co też to w głowie u tych starych kobiet, u nich nie ma nic niepodobnego na świecie.

A L F R E D.

Kiedy tak, dowiedz się więc pani, że najstasza miłość... (*klęka, Winowski go zatrzymuje.*)

W I N O W S K I.

Alfredzie, a gdzież uszanowanie, któż widział takie zgorszenie! jakto? w mojej obecności!...

M A M I Ń S K A.

No i cóż tak straszego! zatrważasz biednego chłopca. (*ocierając Alfredowi pot z czoła i poprawiając mu włosy*) Ha... zrumienił się cały. Poczciwy chłopczyńca, to niewinność sama. Kto słyszał tak powstawać! - niewiedomość, wypada nauczyć. Tak mój panie Alfredzie, złeś uczynił, że w przytomności wuja chciales wyjawiać swoje uczucia, tak się nie postępuje; powinienes szukać sposobności, ażeby można sam na sam... (*do Winowskiego*) Czy nie przejdiesz się pan po ogrodzie? moja Marja tam będzie zapewne, nudzi się biedaczka. Proszę ją zabawić przez chwilę, wkrótce się z niemięzfaczyray.

W I N O W S K I.

Ide dopełnić jej rozkaz. (*n. s.*) dalej do Marji!

ALFRED. (*do wuja*)

Ja cię nie odstąpię.

M A M I Ń S K A.

Pan Alfred zostanie.

W I N O W S K I.

Czy słyszysz Alfredzie, los twój godzien za-  
zdrości. Pani Mamińska musi cię cenić bardzo  
wiele, udzielając ci tak wielką łaskę, (*do Al-  
freda*) Zostań bo, cię wydziedziczę!

M A M I Ń S K A.

Cóż to pan Alfred niechce się zatrzymać?

A L F R E D.

Łowszem, tylko że...

W I N O W S K I.

Tylko że obawia się, aby przypadkiem nie  
naraził jej sobie.

M A M I Ń S K A.

Narazić?.. co za dzieciństwo!.. nie znasz mię pa-  
nie Alfredzie.

W I N O W S K I.

Tak, nie znasz jeszcze, ale poznasz.

ALFRED. (*n. s.*)

A niech mię Bóg uchowa!..

W I N O W S K I.

Żegnam! do widzenia! (*odchodzi*)

## SCENA IX.

MAMIŃSKA, ALFRED.

ALFRED. (*d. s.*)

Otóż jesteśmy sami... żeby tylko babunia tych oczek tak bardzo nie zwracała na mnie, bo dałibóg ucieknę.

MAMIŃSKA. (*d. s.*)

Trzeba paniętać na przyzwoitość, choćby mi przyszło godzinę milczyć, nie zacznę sama.

ALFRED. (*do siebie*)

Chwała Bogu, nie mówi; może się na tem skończy to nieznośne sam na sam.

MAMIŃSKA. (*patrzac z pod oka*)

Już spogląda na mnie, udajmy że tego nie widzimy (*idzie do roboty, i uklada starannie postawę.*)

ALFRED. (*bierze książkę*)

Przyjemnie bardzo — już ze starą, a mój wujaszek...

MAMIŃSKA. (*n. s.*)

Do książki się bierze; to źle z tą uczoną młodzieżą.

ALFRED. (*d. s.*)

Babunia coś mruczy.

MAMIŃSKA. (*j. w.*)

Znowu kto przyjdzie, i ja dziś nie usłyszę o-

świadczeń miłosnych, które po 35 latach spodziewałam się usłyszeć.

ALFRED. (*j. w.*)

Ah, żeby Marja tu przyszła!

MAMIŃSKA. (*j. w.*)

Dłużej milczeć nie mogę, zaczęłam... ale, skromność nie pozwala. Skromność? ta dla młodych panien zostawiona, ale my wdowy... zaczepię... Nie, płęć zabrania, będę milczała. (*kasze*) Hm!

ALFRED (*d. s.*)

Oho, już się zaczyna, o ja nieszczęśliwy, już kaszleć zaczyna!

MAMIŃSKA. (*mocniej kasze*)

Hm! hm! (*n. s.*) może też mię o zdrowie zapyta.

ALFRED. (*do siebie*)

Udajmy głuchego,

MAMIŃSKA. (*n. s.*)

Nie rozumie, biedne dziecko, trzeba go ośmielić. (*wstaje i zbliża się do niego*) Panie Alfredzie!

ALFRED. (*niby przełękły*)

Cóż Pani dobrodziejka rozkaże?

MAMIŃSKA. (*z przymileniem*)

Oto, smutno mi, że jesteś tak zamysłony...



ALFRED. (*d. s.*)

Już mię tykać zaczyna. Nieba! wybawcie mię!

M A M I Ń S K A.

Cóż to, nie odpowiadasz?

A L F R E D.

Alboż człowiek w młodym wieku nie ma powodu do myślenia?

M A M I Ń S K A.

To prawda, że w naszym wieku już czas myśleć...

ALFRED. (*n. s.*)

O śmierci! (*głośno*) dla tego też i ja częstokroć nie mogę wyjść z zamyslenia.

M A M I Ń S K A.

Uważałam to, mój kochany Alfredku, a nie masz przyczyny. Wszystko ci sprzyja, miłość byłaby nie najsprawiedliwszą, (*z wyłaniem*) gdyby tą samą przepaską, którą ukazała oczom twoim, nie uderzyła przedmiotu twęgo uwielbienia. Mogę ci śmieie zaręczyć, że bylebyś wyznał otwarcie twoją tajemnicę, bylebyś wydał to, co oczy twoje jawnie okazują; chwila twojego uszczęśliwienia byłaby bardzo bliską.

A L F R E D.

Czy tak pani mówi? mogę być pewnym...

M A M I Ń S K A.

Daję ci na to moje słowo.

ALFRED. (*rzucając się do nóg p. Mamińskiej*)

A więc, pozwól pani, niech u nóg twoich złożę przysięgę najczystszej miłości, którą pała dusza moja...

MAMIŃSKA. (*w przesadzonej czułości*)

Ah! (*n. s.*) co za szkoda, że świadków nie ma i księdza proboszcza.

A L F R E D.

Wyznanie to...

M A M I Ń S K A.

Wzajemnem wyznaniem nagrodzone będzie.

A L F R E D,

Więc pani zezwolisz?

M A M I Ń S K A.

Jak możesz pytać o to? czyliż dotychczas nie poznałeś?

A L F R E D.

Domyślam się przynajmniej, więc ręka...

MAMIŃSKA. (*podając mu rękę*)

Szczęśliwy młodzieńcze, oto ją masz!

## SCENA X.

MAMIŃSKA, ALFRED, MARJA.

*nico później* WINOWSKI I ZUZIA.

MARJA. (*wbiegając*)

Babuniu! babuniu! (*sposzrzęglszy kłęczącego Alfreda*) Co widzę! (*Alfred wstaje.*)

MAMIŃSKA. (*rozgniewana*)

I czegoż tak krzyczysz? Cóż się takiego stało? po coś tu przyszła!... (*Marja stoi niewzruszona*) gdzież jest pan Winowski? (*Marja zakrywa oczy chustką*) Czegoż płaczesz? (*n. s.*) czy lichoskarąło, że człowiek ani na chwilę wolnym być nie może! Wtenczas przyjść musiała, kiedy Alfred uszczęśliwiony...

ALFRED. (*który przychodził zwolna do siebie*)

Jest twoją, czy ja dobrze słyszałem...

M A M I Ń S K A.

Nie może przyjść do siebie z zachwycenia. (*postrzega wchodzących*) Znowuktoś idzie. (*odchodzi do swego stolika.*)

WINOWSKI. (*wchodzi prowadzony od Zuzi, która mu pomaga otrzepywać frak zakurzony pyłem.*)

Z U Z I A.

Ale bo co też panu przyszło do głowy, jabym sama, będąc na miejscu panny, podobnie uczyniła.

W I N O W S K I.

No i cóż, klęczącego trąciła; obaliłem się, to prawda — ale to jeszcze nie dowodzi, żeby mię kochać nie miała; są rozmaite sposoby oświadczeń miłosnych.

Z U Z I A.

Patrzno pan, cos się tu także przytrafić musiało, bo każde stoi w osobnym kącie.

W I N O W S K I.

Proszę cię, nie mów nic o moim przypadku panu Alfredowi.

M A M I Ń S K A.

A to pan panie Winowski, nie czekałeś na nas w ogrodzie?...

Z U Z I A.

I owszem pani dobrodziejko, pan Winowski byłby dotychczas leżał w ogrodzie, gdybym go nie była podniosła.

ALFRED. *(z uśmiechem)*

Jakto leżał w ogrodzie?

WINOWSKI. *(do Zuzi.)*

No patrzajże, coś narobiła. *(do Alfreda)* To, widzisz mój Alfredzie... tak z żartów, z panną Marjanną założyliśmy się, że ja nie przeskoczę barjerki...

ZUZIA. *(do Alfreda)*

Tak, barjerki do serca panny Marjanny.

W I N O W S K I.

Ja skoczyłem, nogami się pośliznęła i upadłem.

ZUZIA. *(do Alfreda)*

Tak upadł, że już więcej nie pomyśli o młodej dziewczynie.

M A M I Ń S K A.

Ale też daruj panie Winowski, w twoim wieku skakać przez barjery, co za dzieciństwo!

W I N O W S K I.

Prawda, żem głupstwo chciał zrobić.

Z U Z I A.

Toby było mniejsze, jak w wieku pańskim myśleć o małżeństwie; skakać łatwiej, ale wzięść młodą żonę...

W I N O W S K I.

Cóż to tak niedorzecznego?

Z U Z I A.

Niech się pan dobrodziej mojej pani zapyta, a ona mu lepiej na to odpowie odemnie. A potem, czemu pan nie idzie za przykładem pani, która wie aż nądto dobrze, że małżeństwo w podeszłym wieku nie poszanowanie, ale szyderstwo pociąga za sobą.

ALFRED. (*d. s.*)

O to im prawdę powiedziała.

M A M I Ń S K A.

Panna niech idzie do przedpokoju, a nie wda-  
je się w to, co do niej nie należy.

Z U Z I A.

Biegnę. (*odchodząc, do Marji*) Nie obawiaj się panienka, nie będzie nie z małżeństwa ze starym.

M A M I Ń S K A.

Panie Winowski, poznałam jak mi się zdaje zamiary pańskie, wyznaję, że zupełnie zgodne są z mojemu. Pomówiemy o nich w moim pokoju. Proszę. (*wychodząc z Winowskim*) Marjo, pójdź z nami! (*do Alfreda zcicha*) Kochany Alfredzie, dziś w wieczór w tej sali. (*wychodzą.*)

## SCENA XI.

ALFRED, MARJA.

MARJA. (*która uważała jak Mamińska mówiła z Alfredem, idzie zwolna za panią Mamińską.*)

ALFRED. (*zatrzymując ją*)

Chwilę! droga Marjo! kilka słów!

M A R J A.

Nie, ani słowa nie chcę słyszeć; muszę iść za babunią. (*kiedy mówi te ostatnie słowa, wraca się do Alfreda*)

ALFRED. (*n. s.*)

Jak tu zacząć! ha! (*głośno*) Pan Winowski podobno ma widoki względem panny Marjanny, a jeżeli się nie mylę, otrzymał nawet zezwolenie pani Mamińskiej.

M A R J A.

To być nie może!

A L F R E D.

Nie słyszałażes pani jak babunia mówiła, że

zamiary jego zupełnie są zgodne z jej zamiarami.

M A R J A.

Czy tak? Zresztą, kiedy pan możesz mieć swoje widoki względem babuni...

A L F R E D.

Jakiż dowód, że ja nawet pomyślałem o tem?

M A R J A.

Jakto, nie myślałeś pan o tem, czyliż nie wiedziałam go klęczącego u nóg babuni? a kiedy pan Winowski klęcząc przedemną miał widoki względem mnie, więc i pan...

A L F R E D.

Jakto, mój wuj w ogrodzie przy Marji?

M A R J A.

Tak, tak, trochę lepszy od synowca, (*po chwili*) chociaż nie tyle przyjemny.

A L F R E D.

Ah Marjo!

M A R J A.

Proszę o jedną łaskę.

A L F R E D.

Choćby o życie moje!

M A R J A.

Co babunia odchodząc mówiła do pana?

A L F R E D.

Tego powiedzieć nie mogę.

M A R J A.

Nie? — więc żegnam.

A L F R E D.

Zatrzymaj się.

M A R J A.

Nie, nie, nie mogę. (*odchodzi*)

A L F R E D.

Już powiem.

MARJA. (*wraca prędko*)

Co? co? słucham.

A L F R E D.

»W wieczór w tej sali« powiedziała, chce widzieć się ze mną.

M A R J A.

I pan przyjdiesz, będziesz znowu u nóg jej klęczał, kochasz ją więc? (*z płaczem*)

A L F R E D.

Ja jej nie kocham, ale ona...

M A R J A.

Na dowód tego, nie przyjdź, niech sobie sama siedzi.

MAMIŃSKA. (*za sceną.*)

Marjo! Marjo!

M A R J A.

Biegnę. (*biegnie do drzwi*) Już tu idą, wychódź pan czempredziej, bo jak cię babunia zobaczy, to zatrzyma.

A L F R E D.

Do widzenia! w ogrodzie.

MARJA. (*z lekkim wyrzutem*)

Ja nie dam tak długo czekać na siebie, cho-



ciaż już słońce zaszło, i nie tak bardzo dogrzewa. (*Alfred całuje ją w rękę i wychodzi*)

## SCENA XII.

MAMINSKA, WINOWSKI, MARJA.

M A M I Ń S K A.

Już ułożone, zgoda, żadnej odmiany, dziś w wieczór zaręczyny, bliscy sąsiedzi zaproszeni. Marjo, przedstawiam ci twojego przyszłego męża.

MARJA. (*klaniając się*)

Dziękuję babuni, ja go nie chcę.

M A M I Ń S K A.

Nie chcesz iść za mąż?

M A R J A.

Nie na takie zapytanie odpowiedziałam nie chcę.

W I N O W S K I.

Więc mnie pani tylko nie chce?...

MARJA. (*dokończając*)

Za męża.

M A M I Ń S K A.

Tak. — A czymżebyś to mieć chciała pana Winowskiego?

MARJA. (*z prostotą*)

Wujaszkiem.

MAMIŃSKA. (*z gniewem*)

Wujaszkiem! więc o panu Alfredzie myślisz?

Ha mościapanno i nie wstydzisz się w tym wieku być o tyle jeszcze nierozsądną. Za takiego trzpio-ta, niedobrego, bałamuta, łotra tegoczesnego; u którego w głowie same pustoty, figle, który potrzebuje jeszcze nauczyciela jak i waćpanna.

M A R J A.

My się też razem uczyć będziemy od babuni i wujaszka.

W I N O W S K I.

Ma rozum, nie źle mówi, razem się będą uczyć.

MAMIŃSKA. (z gniewem)

Wujaszkiembym mieć chciała; nie mościapanno, mężem mieć musisz, ja tak chcę, rozka-zuję. Proszę mi być posłuszną.

W I N O W S K I.

Ale pani dobrodziejko, na cóż te uniesienia?

M A M I Ń S K A.

Proszę się nie wtrącać. Wujaszkiem! ehę, nie będzie nic z tego; nie pójdiesz za pana Wi-nowskiego, tedy jeszcze na pensją cię odeszję, tam zapomnisz o panu Alfredzie, o tym wietrz-niku, pustogłowie...

M A R J A.

Babunia tak powstaje na pana Alfreda, a sa-ma go kocha.

MAMIŃSKA. (zmieszana)

Ja go kocham... Pana Alfreda?...

WINOWSKI (n. s.)

A to jój klin wbiła w głowę!

M A M I Ń S K A.

Któż ci to powiedział? Kocham go jak dziecko, chcę go prowadzić, a jeżeli pójdę za niego, to tylko dla tego, aby młodość jego ustrzedz od zdradzieckich sidła, które nań zastawiają tobie podobne. Dla tego proszę już nie myśleć o panu Alfredzie.

MARJA, (z płaczem)

Dobrze, już nie będę myślała kiedy babunia nie każe; ale niech mię babunia nie odsyła na pensją, ja się tutaj zostanę.

M A M I Ń S K A.

Nie, to być nie może. Pójdiesz za pana Winowskiego, koniec na tem, to się nie odmieni.

M A R J A.

Ale babuniu!...

M A M I Ń S K A.

Babuniu, babuniu! jakbym to ja już ośmdziesiąt lat miała!

W I N O W S K I.

Ale nie ma się o co gniewać, nie wiele brakuje do ośmdziesięciu.

MAMIŃSKA. (rozgniewana)

Jużes pan policzył? proszę! lepiej było swoje krzyżyki poznać, niżeli cudzemi się truścić. Samstary ledwo łązi, młodzik, co barjer-

ki przeleźć nie może, chce się żenić, a komu przymawia; gdybym nie dbała o szczęście mojej wnucz... mojej Marji, nie darowałabym mu tej obrazy.

W I N O W S K I.

Ale czémże panią obraziłem? wszakże pamiętam dobrze, że jeszcze z teką do szkoły chodził, kiedyś pani na oczepinach między mężatkami rej wodziła.

MAMIŃSKA. (*zgniewu ledwie mówi*)

Proszę się żenić jak najprędzej z Marją i wyjeżdżać, bo inaczej słowa nigdy do pana nie przemówię. (*odchodzi rozgniewana*) Rej wodziła! rej wodziła!!

### SCENA XIII.

WINOWSKI, MARJA, *nieco później* ZUZIA.

(*Winowski i Marja stają każde w innym kącie, Marja płacze, Winowski po pauzie, zbliża się do niej.*)

W I N O W S K I.

No panno Marjanno!

M A R J A.

Proszę mi dać pokój.

W I N O W S K I.

Czyś panienka słyszała ostatnie wyrazy babuni... (*ogładając się*) pani Mamińskiej?

M A R J A.

Nie mnie się tyczyły, co mię to obchodzić może, że babunia do pana i słowa nie przemówi?

W I N O W S K I.

A czyby nie lepiej było, żebysmy się pobrali?

M A R J A.

Nie, gorzej by było.

W I N O W S K I.

Dla czego?

M A R J A,

Dla czego?

W I N O W S K I,

Ciekawym.

M A R J A,

Przeczytaj pan raz jeszcze swoją metrykę.

ZUZIA. (*wpada*)

Panno, panienko!

M A R J A,

Cóż tam?

Z U Z I A.

Goście przyjechali, sąsiedzi.

WINOWSKI. (*n. s.*)

Już? tak prędko, tam do kata! a panna ani myśli!... co ja będę czynił nieszczęśliwy!

M A R J A.

Czy zaproszeni?

Z U Z I A.

Tak, na zaręczyny.

M A R J A.

Czyje?

Z U Z I A.

A czyjeż? pani i panny.

M A R J A,

Babuni, z kim?

W I N O W S K I.

A z kimże by jeżeli nie...

ZUZIA. (*dokończając*)

Z panem Winowskim.

W I N O W S K I.

A niech mię Bóg uchowa, od powietrza, głodu, ognia i starej żony zachowaj Boże każdego człowieka.

Z U Z I A.

Więc pan nienawidzisz swojego synowca, bo pozwalasz, aby on został nieszczęśliwym...

W I N O W S K I.

Alfred? to co innego.

Z U Z I A.

I panny Marjanny Pan także niecierpisz?

W I N O W S K I.

Ja kocham ją więcej, jak moje owczarnie z najprzedniejszymi merynosami.

Z U Z I A.

A gdyby też panna Marjanna ze swojej strony powiedziała: od powietrza, głodu, ognia i starego męża zachowaj Boże każdą młodą dziewczynę.

W I N O W S K I,

Panna Marjanna tego nie powie.

MARJA. (*prędko*)

Od powietrza, głodu...

W I N O W S K I,

Dosyć, dosyć.. ale pani Mamińska kazała...

Z U Z I A.

Kazała, kazała, niech także każe panu, żebyś miał ze czterdzieści lat mniej; a potem pan wie sam najlepiej, że ludzie podeszli mają swoje widzimi-się, urojenia, które mijają prędko.

W I N O W S K I.

Nie, ja nie cofnę moich zobowiązań, i pilnie strzedz będę postanowień pani Mamińskiej. Goście już się zjechali, przygotuj się pani do nastąpić mających zaręczyn.

M A R J A,

Ale...

W I N O W S K I.

Babunia kazała, ja w tem już nic nie poradzę. (*odchodząc*) będziesz szczęśliwa, mój, mój ty... ty... ananasie.

Z U Z I A.

Babunia dla tego chce się pozbyć panienki, aby mogła sama potem panu Alfredowi zawracać głowę swojemi nadskakiwaniami, ale nic z tego nie będzie. On panią kocha.

M A R J A.

To prawda, moja Zuziu, masz słuszność, ona chce mu zawracać głowę, wyobraź sobie,

dziś odchodząc, powiedziała do niego: wieczorem w tój sali...

Z U Z I A,

Tak powiedziała?...

M A R J A,

Tak, powiedz więc, nie jestem nieszczęśliwą? mnie daje starego, a sama młodego zabiera.

(*placze.*)

ZUZIA (*po namyśle*)

Trzeba go odebrać, i to jak najprędzej!

(*ściemnia się.*)

Z U Z I A.

Już to do mnie należy, teraz idź panna do gości. (*Marja odchodzi.*)

SPIEW NRO 4.

ZUZIA. (*śpiewa*)

Niecierpliwość jój zgaduję,

Zazdrości powód dociekam,

Ja, co równie miłość czuję,

I szczęsnej przyszłości czekam,

Znam chłopców dosyć niezego,

Ich obietnice łudzące,

Już kochanków mam tysiące,

Żeby choć męża jednego!

Zmierzchać się zaczyna... czas krótki, muszę się widzieć jeszcze z panem Alfredem i Winowskim. (*wybiega.*)



## SCENA XIV.

MAMIŃSKA. (*sama, wchodzi ostrożnie.*)

(*Scena coraz bardziej się zciemnia.*)

Już się zmierzchno, goście bawią w najlepsze w altanie ogrodowej; Alfred, wiedziałam, oddalił się, sądziłam że go już tu zastanę. Ah jak mi serce bije: O miłości! twoja władza nigdy się tak silnie w młodym wieku czuć nie daje. Już idzie... Nie! ah jak długie chwile czekania! ale za to jak łube spotkanie! Alfred więc będzie moim — jakże będzie szczęśliwym, spokojnym, przekona się dopiero, że nie wiek, ale moc uczuć stanowi swobodę prawdziwą. Już idzie — ah tak, to on! poznałam go po chodzie!

## SCENA XV.

(*Ciemno zupełnie.*)

MAMIŃSKA, WINOWSKI, (*za nim nieco później*) MARJA, ALFRED, ZUZIA.

W I N O W S K I.

Zuzia aż tu mię przyprowadziła, zaręczając, że moja najdroższa już na wszystko zezwała.

M A M I Ń S K A.

Jesteś tu?

W I N O W S K I.

Jastem, moja najmilsza.

*Tom III.*

M A M I Ń S K A.

Przepraszam cię, że Zuzia jeszcze świec nie dała pomimo tego, żem jej tylokrotnie mówiła.

W I N O W S K I.

Nic to nie szkodzi, moja luba, Amor powinien być bratem Morfeusza!

*(Wchodzą wszyscy z cicha i stają w głębi, Zuzia we drzwiach.)*

MAMIŃSKA. *(unosząc się)*

Jak piękna myśl etymologiczna!

W I N O W S K I.

Jakże więc, najdroższy elemencie serca mojego zezwalasz na moje uszczęśliwienie? *(bierze ją za rękę i całuje.)*

MAMIŃSKA. *(n. s.)*

Biedaczek, jak drży cały.

W I N O W S K I.

Namysliłaś się więc, i już wiek...

M A M I Ń S K A.

Nie mówmy o wieku, serce zawsze toż samo, wiek żadnej nigdy nie stawia przeszkody.

W I N O W S K I.

Masz słuszność moja lubciu; bywa jednak czasami, że jest w wieku przeszkoda, ale są wyjątki...

ZUZIA. (*do Alfreda*)

On pewno do nich nie należy.

M A M I Ń S K A.

Aż nadto tego pewna jestem.

W I N O W S K I.

Oh najdroższa, wydaj wyrok mego uszczęśliwienia!

M A M I Ń S K A.

Ach najmiłszy!

W I N O W S K I. (*n. s.*)

Jak drży cała! nieboraczka!

M A M I Ń S K A.

Ale cóż tobie jest, twój głos zdaje mi się być trochę zmienionym.

W I N O W S K I.

I mnie to samo w tobie uderzyło.

M A M I Ń S K A.

To zapewne chłodne powietrze tego przyczyna. (*z przymileniem*) Mój aniołku, żebys się nie zaziębił.

W I N O W S K I.

Chwila radości rozprószy wszystko, pójdźmy więc.

M A M I Ń S K A.

Dokąd?

W I N O W S K I.

Goście czekają nas, idźmy ich uwiadomić...

M A M I Ń S K A.

Jakto, dziś?

W I N O W S K I.

Nie zwlekaj mojego szczęścia.

M A M I Ń S K A.

Jednakże, jeszcze...

W I N O W S K I. *(kłękając)*

Zaklinam cię...

M A M I Ń S K A. *(n. s.)*

Cóżbym mu mogła odmówić? *(uścisk)*

*(Zuzia wychodzi z wolna)*

M A M I Ń S K A.

Któs idzie, powstań najdroższy.

W I N O W S K I.

Pomóż mi lubciu, bo dalibóg niemogę. *(wchodzi Zuzia ze świecami, i stawia jedną na jednym, drugą na drugim stoliku)*

M A M I Ń S K A.

Co widzę, Winowski! Świec, świec!

W I N O W S K I.

Nasza babunia! *(zrywa się z ziemi przełękty)*

## SCENA XVI I OSTATNIA.

M A M I Ń S K A, M A R J A, A L F R E D.

W I N O W S K I, Z U Z I A.

M A M I Ń S K A.

Jakto, pan Alfred i Marja! wyście tu byli?

M A R J A.

Tak, i widzieliśmy wszystko.

M A M I Ń S K A.

Jak pan Winowski... oj bo też twój wujaszek Alfredzie, to zawsze żartobliwy,

W I N O W S K I.

I twojej babuni Marjo często się żarciki trzymają.

A L F R E D.

Zapomnijmy o tem; a teraz, kochana babuniu, pobłogostaw naszemu przywiązaniu, uczyni dwoje drogich ci istot szczęśliwemi; ich wyrok od jednego zawisł słowa,

MARJA. *(do Winowskiego)*

I pan, którego niewierność teraz na jaw wyszła, zapewne...

W I N O W S K I.

Dosyć, dosyć, już wiem resztę. *(z cicha)* I nie chcę, aby goście o tem wiedzieli, nieprawdaż pani Mamińska?

M A M I Ń S K A.

Najgłębsza tajemnica! proszę was.

W I N O W S K I.

A za to, Marjo, będę twoim wujaszkiem.

M A M I Ń S K A.

I mnie się tak zdaje, przekonałam się sama, że pan Winowski nie może już być mężem twoim, ale tylko wujaszkiem.

M A R J A.

A więc Alfred?.,

A L F R E D.

Babuniu!

MAMIŃSKA. (n. s.)

Babuniu! babuniu! (*spogląda w lustro stojące na stole*) Ha! weź go sobie!

Z U Z I A.

A to ślicznie, a co, nie mówiłam, że się na mojem stanie?

M A M I Ń S K A.

I zawsze to powtarzać możesz, że późny wiek może mieć swoje błędy, ale na szyderstwo nigdy się nie wystawi.

ŚPIEW KONCZĄCY, NR 6.

M A M I Ń S K A.

O chwilo szczęśliwa!

Z błędu wywiedziona,

To słodycz prawdziwa

Tuląc was do łona.

drugorzeczycy

Doczekawszy późnych latek,

Wam się nieraz zbłądzić zdarzy;

Więc przebaczcie na ostatek,

W czem dzisiaj zbłądzili starzy.

K O N I E C.

# KRZYŻYK ZŁOTY

K O M E D J A

WE DWÓCH AKTACH

*z Francuzkiego*

pp. Brazier i Melesville.

TLUMACZONA.



GRANA PIERWSZY RAZ

NA WIELKIM TEATRZE

*dnia 17 Grudnia 1835 r.*

O S O B Y.

MAURYCY PILOIS	JP. Żółkowski.
KASIA, jego siostra	JPa. Dąszkiewicz.
LUDWIKA, sierota, jego na- ręczona	JPa. Dobrzańska.
KAROL BOUDET, popucznik	JP. Jasiński.
BERTRAND, sierżant	JP. Szymanowski.
HUBERT, furman	JP. Wróblewski.
Wieśniacy.	
Dziewczęta.	

(Rzecz dzieje się w jednej z wiosek w Bre-  
tańji, w okolicach Plawignier.)

---



# KRZYŻYK ZŁOTY.

## AKT I.

*(Scena przedstawia izbę wiejską. Drzwi i szerokie okna w głębi wychodzą na drogę. Po lewej wchód do innych izb i kuchni; małe drzwi prowadzące do stodoły; sprzęty stosowne.)*

### SCENA I.

KASIA. *(sama)*

*(Lampa stoi na stole. Kasia zamyka drzwi po prawej, mówiąc do osoby, którą wpuściła.)*

Tak, mój poczciwy człowieku, odpocznij sobie tam dowoli... masz świeżą słomę, jak będzie czas wieczerzy, to ci dadzą znać, będziesz kontent, to jest oberza niepospolita, gdzie tylko przyjmują furmanów i kupców kaszy. *(zamyka drzwi)* Przemókł do nitki... ah, musiał go deszcz przydybać!... chciałam zapalić ogień, dać mu izbę; nie, wolał iść do stodoły!... I słusznie, tam się nie lęka popsuć mebli! daleko rozumniej;

bo nie widac po nim, azeby placil jak milord; bluza podarta, i stary kapelusz nasuniety na oczy, ale tak, zem twarzy jego nawet nie widziala!... teraz mi przyszlo na mysl: a gdyby tez to byl jaki podejrzany... wlóczega... gdyby!... oh nie!... kiedy przyjdzie jaki picchota, nigdy o niego nie jestem niespokojna, wiem, ze zaplaci... ale kiedy widze jakiego filuta pieknie wystrojonego, ktory krzeczy, halasuje, kosztuje wszystkie wina, i każe pisac na rachunek, wtenczas szafy ne klucz zamykam, i ręce trzymam w kieszeni.

## SCENA II.

KASIA, LUDWIKA.

LUDWIKA. (*otwierajac drzwi*)

Kasiu!...

K A S I A.

Ah to ty Ludwiko!... pójdzże... cóż to, czy nie jesteś domowa?

LUDWIKA. (*z obawą*)

Czy przyszedł?

K A S I A.

Kto?

L U D W I K A.

Maurycy.

K A S I A.

Mój brat? tak, właśnie... ciągnienie spisu woj-

skowego, to nie bagatela. Nim tego zmierzą, temu się przypatrzą... nim każą niewidomym patrzeć, a kulawym chodzić; a potem słuchać mowy pana podprefekta!... wszystkie nieprzyjemności od razu!

LUDWIKA. *(z westchnieniem)*

Całą noc płakałam.

K A S I A.

Bałaś się, aby nie wyciągnął złego numeru...

L U D W I K A.

Wiesz przecie, że nie można wybierać.

K A S I A.

Któż przeszkadza? ale uspokój się, mojemu bratu wszystko się wiedzie.

L U D W I K A.

Oh to prawda! a ta choroba?...

K A S I A.

No, ale teraz nie choruje.

L U D W I K A.

A ta oberża? do której nikt nie przybywa z podróżnych?..

K A S I A.

I teraz nawet mamy jednego w bluzie, ale wątpię żeby płacił punktualnie. Dla tego też mój brat oddał właścicielowi ten dom, a wziął właśnie w dzierżawę mały folwark, gdzie będzie my mieszkać, jak się pobierzecie!

L U D W I K A.

A jeżeli on przypadkiem wyciągnie numer pierwszy?...

K A S I A.

Eh dajże pokój, to być nie może!... mój brat! nasze jedyne dobro, nasze wsparcie! dobry Boże! cóżby się ze mną stało, ja, która przy nim tylko radości doznaję. Biedny Maurycy, widzę go jeszcze w chwili kiedy nasz ojciec umarł— miał wtenczas lat dwanaście, a ja pięć, nie chciał się nigdy niczem zajmować... rzucał tylko kamieniami na przechodzących, albo łąził po drzewach sąsiedzkich ogrodów... prawdziwie niedobrego!... ale kiedy zobaczył żeśmy tylko sami zostali, żem płakała... stał się człowiekiem. — »Pociesz się, moja mała Kasiu, rzekł do mnie, »mam dopiero lat dwanaście, ale będę twojem »wsparciem, twoim opiekunem! przysięgam to »przed Bogiem... przed ojcem moim!« I dotrzymał przysięgi... został najlepszym człowiekiem w całej wsi; rano prowadził mię do szkoły, a potem szedł pracować za nas dwoje, w polu, w stodole; w wieczór znowu po mnie przychodził: a wróciwszy do domu, pokazywałam mu to, czego sama się uczyłam, znowu ja stawa-

łam się jego nauczycielką. Słuchał mię, pozwalał łajać się, pozwalał karać się nawet! biedny Maurycy!

L U D W I K A.

A ja? czyliż nie miał starania o mojej matce jak o swojej własnej? a kiedy ją utraciłam, czyliż mi nie oświadczył chęci zaślubienia mię, mówiąc do mnie z całą szczerością, »pracowałem dla dwojga, pracować będę dla trzech osób.«

K A S I A.

Oh to wyborne serce, i gdybym nie była jego siostrą, chciałabym być jego żoną.

L U D W I K A.

Ah któżby go nie kochał.

K A S I A.

Eh, on wyciągnie dobry numer, moje przeczucia nigdy mię nie zwodzą! jutro się pobierzecie; potem osiadziemy w naszej małej posiadłości, gdzie będziemy szczęśliwi wszystko troje.

L U D W I K A.

Wszyscy czworo! bo i ty także za mąż pójdziesz.

K A S I A.

Ja? oh nie,

L U D W I K A.

Dla czego?

*Tom III.*

6.

K A S I A.

Kiedy ja nikogo nie Kocham.

L U D W I K A.

Nikogo?

K A S I A.

Tylko ciebie i mojego brata; a potem wasze dzieci jak mieć je będziecie, będę ich wam pieściła, będę wychowywała, to mi się z prawa należy. Będę dobrą starą ciotulą! starą gadulą, włożę na nos okulary gdy będę uczyć czytać, dam im różne zabawki, będą mię kochać.

L U D W I K A.

Oh ty pustaku! — ah to Maurycy!

KASIA. (*z radością*)

Bogu chwala!

### SCENA III.

MAURYCY, KASIA, LUDWIKA.

MAURYCY. (*do siebie*)

Ha!... choćym nawet głowę o mur rozbił!..  
(*spozstrzegając Ludwikę*) Ludwika tu!

L U D W I K A.

Czekaliśmy na ciebie Maurycy, czy ci to nieprzyjemnie.

MAURYCY. (*udając wesołość*)

Przeciwnie, bardzo mię to cięszy.

K A S I A.

Wszysey chcemy się razem cieszyć. No, opo-

wiedz nam ten sławny spis wojskowy, już się uwolnił?... kładłeś rękę do kapelusza podprefekta, czy już się skończyło?...

MAURYCY. (*z małym westchnieniem*)  
Już...

LUDWIK A.  
I wyciągnąłeś dobry numer?

MAURYCY.  
Oh!... najlepszy!...

LUDWIK A. (*z radością*)  
Bogu dzięki!

KASIA. (*do Ludwika z radością*)  
A cóżem ci mówiła?

MAURYCY.  
Numer pierwszy!

LUDWIK A.  
Nieba!

KASIA.  
Numer pierwszy... tyś go wyciągnął!

MAURYCY.  
Musiał go ktoś wziąć... nie mógł przecież zostać na rachunek podprefekta!...

KASIA.  
To prawda, ale ty mój bracie!...

LUDWIK A. (*placząc*)  
Wiec oddasz się?... opuścisz nas!...

KASIA.  
Aby się dać zabić...

MAURYCY.

Ależ chwilę!... jeszcze żyję przecież.

KASIA. (*łkając*)

To wszystko jedno.

MAURYCY.

Coż u kata! dla czegoż koniecznie mam zginąć.

KASIA. (*j. w. ocierając łzy*)

Ale ty nie pójdiesz.

LUDWIKA.

Oh nie.

MAURYCY.

Cicho!... ktoś idzie... otrzęjcie łzy...

## SCENA IV.

MAURYCY, BERTRAND, KASIA, LUDWIKA.

BERTRAND.

Witam was panny czy panie, przyjmijcie moje uszanowanie! Żołnierz powinien nachylać się przed plcią piękną.

MAURYCY.

To jest sierżant Bertrand...

KASIA.

Czego pan tu chcesz?... po coś tu przyszedł?

BERTRAND.

Powinszować Maurycemu...

LUDWIKA. (*smutno*)

Jest czego!...

BERTRAND.

Do kroćset, z taką tęgą miną wyciągnął nu-



mer pierwszy, że to mu zyskało moje serce...  
Wiedziecie, że ma szczęśliwą rękę!... Numer pierwszy! do pioruna, nie było dwóch w worku...  
Niegdyś ja wyciągnąłem numer piąty, i miałem to sobie za łaskę fortuny.

M A U R Y C Y.

Nie uskarżam się!

KASIA. (*przerywając żywo*)

Bezwątpienia!... dla niego to wszystko jedno...  
On nie może iść.

BERTRAND. (*podnosząc wąsy i patrząc na Maurycego*)

Co?

MAURYCY. (*dając mu znak, i pokazując kobiety*)

Milczenie przy nich!...

BERTRAND. (*rozumiejąc*)

To słusznie, piękność jest z natury tkliwą!...

K A S I A.

Naprzód on nie ma jeszcze lat, jest za mały.

B E R T R A N D.

Choćby i tak było, zrobilibyśmy z niego woltżera, męstwo nie potrzebuje wzrostu.

LUDWIKA. (*troskliwie*)

Ale Maurycy nie ma sił...

K A S I A.

I nie lubi stanu wojskowego.

B E R T R A N D.

O gustach i kolorach sądzić nie trzeba. A potem nam wszystko jedno czy lubi czy nie; i ja...

K A S I A.

Eh co tam pan... to myślisz, że tak każdy; że nie ma nic więcej do roboty!...

M A U R Y C Y.

Siostro!

K A S I A.

Mój brat nie ma czasu, on wziął w dzierżawę folwark... on się żeni, oto jest jego narzeczona. No pójdźże Ludwiko, mów przecię.

L U D W I K A.

Tak panie sierżant, to ja!...

B E R T R A N D. *(z uśmiechem)*

To mi przyczyna!... Ale widzicie moje gołąbki, mówię z wami jak przyjaciel, byłoby najniesłuszniej odmawiać mu. Ja od dwudziestu dwóch lat przebiegam ten zawód wzdłuż i wszerz, i wyznaję, że nie mało miałem przyjemności. Piętnaście lat byłem żołnierzem, pięć kapralem, a od dwóch lat jestem sierżantem. Widzicie tedy, że przy cierpliwości i odwadze stopnie nieznacznie lecą...

K A S I A.

Wszystko to jest bardzo ładnie, ale kiedy kto nie chce być żołnierzem, no to co?

MAURYCY.

Kasiu!

KASIA.

Proszę cię milcz, ty nie nie wiesz; no pytam się pana sierżanta, kiedy kto nie ma ochoty?...

BERTRAND. (*uwważając znaki Maurycego*)

Jest tysiące sposobów uwolnienia się, jeżeli się okaże niezdatnym...

KASIA.

Prawda, nie myśleliśmy o tem.

LUDWIKA. (*do sierżanta*)

Czegóż to trzeba aby się okazać niezdatnym?

BERTRAND.

Co się tycze fizyczności, najmniejsza niedoskonałość, co do moralności, kiedy się jest bliskowidzącym, lub jednonogim...

MAURYCY. (*przy Ludwice*)

A więc pomówimy tu sobie z sierżantem, to nie należy do kobiet... idźcie więc do waszej roboty!... izby nie pouprzątane... kolacja...

KASIA.

Już idziemy, nie gniewaj się, Ludwika mi pomoże. (*do Ludwiki*)) Pójdźmy. (*wychodzą na lewo.*)

## SCENA V.

BERTRAND, MAURYCY.

BERTRAND. (*patrzac za odchodzącemi*)

Biędne cherubinki!... no teraz kiedy jesteśmy sami... nie nie powiedziałem... zrozumiałem twoje mrugania; ale nie myślę abys się chciał podać za niezdatnego; przy takiej postaci...

MAURYCY.

Przecież nie jestem dziecko...

BERTRAND.

Widzę, że ci zbywa na odwadze, ale nieobawiaj się; miałbym wielką ochotę wprowadzić cię w ogień, wpośród kul... dla tego, musimy się pośpieszyć, torba na plecy, lewo w tył.. krokiem przyśpieszonym, marsz!

MAURYCY.

Jakto! więc natychmiast!...

BERTRAND.

Wszyscy przyrzekli wyruszyć ze światem.

MAURYCY. (*drżąc*)

Tęj nocy?

BERTRAND.

Za chłodu, to zdrowiej; jak tylko jutrzienka się pokaże, w drogę.

MAURYCY. (*z wysileniem*)

Będę gotów sierzancie... opuścić sierotę, któ-

rej byłem jedynem wsparciem... biedną dziewczynę, która we mnie tylko pokładała nadzieję, ah! to mię wiele kosztować będzie; ale ten nagły odjazd oszczędzi mi przynajmniej przykrości pożegnania!

B E R T R A N D.

To dobrze!... otóż takim być powinienes... wiem o tém... opuścić kochankę, to rozdziera duszę!... bo i ja mój chłopcze, nie zawsze miałem zimne serce, były i dla niego miłe stosunki... prawdziwe węzły kwiatów... girlandy! i cóż! nigdy się nie żegnał... mówiłem im, moje kurczątka, jeżeli jutro z wami się nie zobaczę... to ma znaczyć, że mię już tu nie ma. Tym sposobem oszczędzamy sobie wiele cierpień!

M A U R Y C Y.

Ah gdybyś wiedział... ale dla tego, dopełnię mojej powinności...

B E R T R A N D.

Otóż to tak; a więc jutro równo ze świtem?...

M A U R Y C Y.

Ale niech nikt w domu nie wie.

B E R T R A N D.

Oh milczenie! rozumiem, zapukam do okna... puk, puk!... ty mi odpowiesz hem, hem! ja powiem dobrze... i dalej... moje uszanowanie tym damom... do widzenia kolego... *(odchodzi)*

## SCENA VI.

MAURYCY. (*sam*)

Już cofnąć się niepodobna!... biedna siostra, biedna Ludwiko! cóż się z niemi stanie? a jeżeli nie wrócę... jeżeli zginę!... ah to jest okropne!... gdybym mógł oddalić się nie widząc ich, nie zadrzę przed śmiercią, ale widzieć ży siostry i Ludwika, do tego nie mam sił... Już tylko kilka godzin, noc przemija... i... to one!...

## SCENA VII.

LUDWIKA, KASIA, MAURYCY.

LUDWIKA. (*do Kasi*)

Ale ja słyszałam!

KASIA. (*z wzruszeniem*)

To niepodobna!... jakto mój bracie!... miałżebyś nas oszukać...

MAURYCY.

Ja?

KASIA.

To co mi Ludwika powiedziała...

LUDWIKA. (*drżąc*)

Tak panie Maurycy... stałam w oknie... kiedy twój przebrzydły sierżant, zatrzymał się mówiąc z drugim rekrutem: »Już koniec, mówił, Maurycy pójdzie z nami!...«

MAURYCY. (n. s.)

Oh nierozważny...

LUDWIKA, KASIA.

I cóż więc?

MAURYCY. (bełkocząc)

Wcale nie... to jest... on mi mówił... ja mu odpowiedziałem... że

K A S I A.

Kłamiesz! powiedziałeś mu, że pójdziesz.

MAURYCY. (opryskliwie)

A więc... gdyby tak było...

(*Dziewczęta rzucając się w swoje objęcia płaczą*)

LUDWIKA, KASIA.

A więc to prawda.

M A U R Y C Y.

Otóż mamy... płacze... narzekania!...

KASIA. (z udaną stałością)

Płacze! oh mój Boże! nie! na cóżby się przydały?... po co?... chce nas porzucić, opuścić... to bardzo naturalnie... to mu przyjemnie, to mu się podoba... nie można sprzeczać się o to co się komu podoba!

M A U R Y C Y.

Eh co tam, ty nie masz rozumu, nie odpowiadam ci!

K A S I A.

Dziękuję, bracia są bardzo grzeczni!...

M A U R Y C Y.

Muszą mieć za was rozum.

K A S I A.

Oh tak... radzę im, niech się chlubią z niego!

M A U R Y C Y.

Do kata!

K A S I A.

Oh!

L U D W I K A.

Czy nie będziesz się klócić teraz?

K A S I A.

To mi zmysły odbiera. (*tupiac nogą*) Oh! ci szkaradni mężczyźni! nie wiem dla czego ich kochają, ani jeden nie wart miłości.

LUDWIKA. (*tonem wyrzutu*)

Kasiu!

K A S I A.

Nie cofam się, ani jeden nie wart!... albo też ukrywa się tak, że go znaleźć trudno! Dla tego też Ludwika bardzoby źle uczyniła, gdyby czekała na powrót kochanka, który wróci kiedy mu się będzie podobało. Na wielkanoc, na zielone świątki, otóż jestem, chcesz mię? ah wielkie szczęście!... Czy można tak życie przepędzać w wątpliwości i na wieki zostać panną!... bardzo dobrze uczyni jeżeli pójdzie za mąż, weźmie sobie innego; ja na jej miejscu takbyin



postąpiła, wolałabym raczej dziesięć razy iść za mąż, niżeli wcale nie.

MAURYCY. (*do siebie*)

Cierpliwości! (*oddala się*)

K A S I A.

Tak, my tu poumieramy ze zmartwienia, idź...

MAURYCY. (*wracają*)

Ach, jakże mię zasmucacie, szczególnież ty siostrze... zamiast pocieszać. Czyliż nie jestem najniezszczęśliwszy, ponieważ muszę być posłusznym, chcecie umrzeć; a kiedy powrócę, nie zastanę nikogo, jeżeli będę raniony, jeżeli utracę rękę lub nogę, któż o mnie będzie miał staranie, kto mię wspierać będzie? Trzeba więc, abym i ja potem umarł z kolei u tych drzwi, z żalu i boleści.

KASIA. (*rzucając się w jego objęcia*)

Oh bracie!... kochany bracie!...

LUDWIKA. (*tak samo*)

Maurycy!

K A S I A.

Zbłądziłam... nie wiem sama co mówię... przebacz... daruj mi! Ale ty nie możesz nas opuścić, ty nie oddalisz się.

LUDWIKA. (*placze*)

Jakto?

Tom III.

K A S I A.

Jakto? jakto? ja sama nie wiem jak... ale zamiast płakać- (*placząc także*) widzisz Ludwisiu, trzeba mieć rozum... trzeba pójść rzucić się do nóg Prefekta, Jenerała, Wójta... mniejsza o to czyich... (*do Maurycego*) Ty im powiesz... Panie Dobrodzieju... widzisz pan, mam żonę, siostrę... które chcą się utopić jeżeli się oddalę. Tak trzeba mówić, kiedy kto ma rozum i odwagę.

M A U R Y C Y.

A cóż Pułkownik uczyni?

K A Ś I A.

Da ci uwolnienie i koniec, cóż go to może kosztować?

M A U R Y C Y.

Ale będzie żądał odemnie zastępcy.

K A S I A.

Zastępcy?

L U D W I K A,

Ach co za myśl! gdyby kto poszedł za ciebie... jakżebym go błogosławiła!

K A S I A.

A ja... jakbym go kochała!... Jako, nie znajdzie się taki kolega, taki dobry przyjaciel... oddałabym wszystko co mam, moje czepeczki, wstążki, moje koleczki, i ten krzyżyk złoty z włosami mojego dobrego ojca!...

MAURYCY.

Dziecko jesteś, t $\acute{e}$ m wszystki $\acute{e}$ m nie opłacisz zastępcy...

KASIA. (z uniesieniem)

A więc oddałabym mu się sama, jeżeliby tego żądał... powiedziałabym mu... patrz!... jestem niczego... trochę pusta, płochą dziewczyną... ale mam dobre serce, które zostanie twoj $\acute{e}$ m, jeżeli zachowasz mi brata!... jeżeli nas wszystkich ocalisz!... Tak, przysięgam na ten krzyżyk złoty, na włosy mojego ojca... jeżeli zajmiesz miejsce Maurycego... za powrotem będę twoją żoną... będę cię kochać... kochać ciebie tylko samego... i poświęcając tobie całe moje życie, starania i miłość... będę jeszcze myślała, że za zbyt tanio opłaciła tak wielką ofiarę.

MAURYCY. (rozkliwiony)

Biedna siostrze... nie myślisz... (za drzwiami na prawo słychać łoskot) Co to jest?

LUDWIKA.

Co takiego?

MAURYCY.

Zdało mi się słyszeć... Czy jest kto w stodo-  
dole?

KASIA.

Ah zapomniałam!... Ten biedak nudzi się za-

pewne czekając kolacji... przyrzekłam dać mu znać...

MAURYCY.

Właśnie czas myśleć o tem, o drugiej godzinie rano.

KASIA.

Moja głowa do niczego!... jestem pewną... (*ocierając tzy*) że pasztet się spalił. (*otwiera drzwi na prawo.*) Pójdź, pójdź mój poczciwy człowieku... (*patrzac*) No i cóż?...

MAURYCY.

Czy on śpi?

KASIA.

Nie ma nikogo.

LUDWIK A.

Jakto?

KASIA.

Okienko wychodzące na ogród otwarte.

MAURYCY.

Wymknął się...

KASIA.

Nie zapłaciwszy!

LUDWIK A.

Jeżeli to był złodziej...

MAURYCY. (*śmiejąc się*)

Toby się był złapał, tam tylko jest siano i słoma. Zapewne znudził się czekaniem, i poszedł gdzie indziej szukać kolacji... uczyńmy podo-

bnie, zjedzmy co, i udajmy się na spoczynek (*n. s.*)  
Obawiam się, aby sierżant... (*patrzy niespokojnie w okno.*)

K A S I A.

Tak, aleśmy nic nie postanowili.

M A U R Y C Y.

Dla Boga! mamy czas o tém myśleć... dopiero za ośm dni mam oddać się.

L U D W I K A.

Za ośm dni?

K A S I A. (*z radością*)

Za ośm dni!... Trzeba ci było powiedzieć... znajdziemy tysiące sposobów...

M A U R Y C Y.

To dobrze, daj nam jeść.

K A S I A.

Zaraz, zaraz mój braciszku!... (*ściska go*) mój dobry Maurycy! ośm dni!... (*uderzając go po twarzy z lekka*) Ah, jak ty jesteś dobry! jakże cię Kocham!... oh i ciebie moja Kochana Ludwisiu. (*skacząc jej do szyi*)

L U D W I K A.

Kasiu!...

K A S I A.

Co za dzieciństwo, tak się smucić, zawracać sobie głowę!... ośm dni... on nie pojedzie..

MAURYCY. (*uderzając nogą*)

Kolacja!

K A S I A.

Już idę... biegnę... pójdę po pasztet... kochany drogi braciszku -- (*wybiega*) ośm dni!...

## SCENA VIII.

MAURYCY, LUDWIKA.

L U D W I K A.

Ah jakżem szczęśliwa!... ośm dni!...

MAURYCY. (*n. s.*)

Nie mogę się odważyć... (*głośno*) Posłuchaj mię dobra Ludwiko.

LUDWIKA. (*uwważając jego trwozę*)

Cóż ci to?

M A U R Y C Y.

Katarzyna jest jeszcze dziecko; ale ty masz więcej stałości, odwagi.

LUDWIKA. (*z obawą*)

Oh Boże! nie... nie mam jej wcale, uprzedzam cię...

M A U R Y C Y.

Ale tak, prócz tego uważam cię już jako moją żonę, tobie samęj mogę dać ostatnie moje polecenia...

LUDWIKA. (*drżąca*)

Dla Boga, to brzmi jak testament... przestraszasz mię! to co powiedziałaś Kasi...

MAURVY. (*zniżając głos.*)

Jest nieprawda, dziś w nocy oddalę się... ze  
świttem dnia...

L U D W I K A.

Téj nocy!...

M A U R Y C Y.

Milczenie!... gdyby nas Kasia usłyszała!... mu-  
sialem ją zwiścić... popelnilaby jaką niedorze-  
czność... Lecz ty... moja dobra Ludwiko... czy-  
liż mógłbym opuścić cię, nie przycisnąwszy do  
mojego serca? nie powiedziawszy, ile cię ko-  
cham i czego oczekuję po twojej miłości...

L U D W I K A.

Boże! Boże!

M A U R Y C Y.

Więcej odwagi! kiedy nieszczęście jest nieu-  
chronnem. Słuchaj... jak mię nie będzie, po-  
cieszaj Kasę...

L U D W I K A.

A któż mię pocieszać będzie?

M A U R Y C Y.

Przeniesiecie się obie do tego folwarku, któ-  
ry nająłem. Gervais, poczciwy sługa, będzie wam  
dopomagał... możecie się zdać zupełnie na nie-  
go... a potem... ja powrócę... powrócę wkrót-  
ce... jestem pewny... przyrzekam ci... Cicho, to  
Kasia!

LUDWIK A. (*n. s.*)

Ah, siły mię opuszczają!

SCENA IX.

CIŻ I KASIA. (*przynosząc półmisek, który stawia na stole*) później BERTRAND.

K A S I A.

No, dalej do stołu, Ludwiko pomóż mi przecie.

MAURYCY. (*biorąc stół i przybliżając go*)

Czekaj.

K A S I A.

A stolki?!

M A U R Y C Y.

Oto są!

K A S I A.

Usiądziesz pomiędzy nami, tak, pójdźże Ludwisiu.

LUDWIKA. (*smutna siada*)

Ja nie głodna.

KASIA. (*wesoło, siedząc*)

Co to znaczy?... zawsze się je, kiedy kto szczęśliwy... Obracając pasztet znalazłam sposób wyborny...

MAURYCY. (*udając wesołość*)

Czy tak?

LUDWIKA. (*żywo*)

Jaki?

KASIA. (*z miną tryumfującą*)

Ah! to moja tajemnica!... ale niezawodny!...  
Zobaczycie, trzech dni tylko potrzebuje!



LUDWIKA. (z westchnieniem)

Trzech dni!

KASIA. (nalewając)

Pijże Ludwisiu!

L U D W I K A.

Nie mam pragnienia.

KASIA. (naśladując ją)

Ah... ja nie głodna, nie mam pragnienia... Ona teraz będzie się krzywić, kiedy jest szczęśliwą, i nie obawia się niczego.

(słysząc pukanie do okna)

BERTRAND. (za sceną)

Puk! puk!

KASIA. (odwracając się)

Hem!

BERTRAND. (za sceną)

Dobrze!

K A S I A.

Kto to puka?

LUDWIKA. (n. s.)

Ah Boże! byłżeby to....

MAURYCY. (n. s.)

Sierżant! (głośno wstając) To nic, ja zobaczę... (do siebie) gdybym mógł wymknąć się....

K A S I A.

Co tobie Ludwisiu, ty bledniesz!

LUDWIKA. (z wybuchem)

Nie pozwalaj mu wychodzić!...

K A S I A.

Jakto!...

L U D W I K A.

Zwiódł nas... przyszli po niego... odejdzie w tej chwili!

KASIA. *(z krzykiem)*

Maurycy!

MAURYCY. *(idąc otworzyć)*

Uspokój się!

KASIA. *(z gniewem)*

To być nie może!... nie, nigdy!... Niech przyjdą... *(tkliwie)* będziemy prosić sierżanta, prefekta i całego świata! *(chwytają Maurycyego, który zdaje się im bronić, drzwi się otwierają)*

## SCENA X.

BERTRAND, KASIA, MAURYCY, LUDWIKA.

BERTRAND. *(z tornistrem na plecach i karabinem w ręku)*

Pozdrawiam całą kompanję... Moje piękne panienki, pozwólcie abym wam powtórne złożył uszanowanie. *(do Maurycyego)* No, mój młody i piękny rycerzu—już świt i....

K A S I A.

To dobrze... dobrze... my tu pana nie potrzebujemy... dla tego odwróć się w tył... i dalej w swoją drogę jaknajprędzej...

MAUR YCY, LUDWIKA.

Kasiu!

BERTRAND. (*uśmiechając się, do Kasi*)

To właśnie zrobimy, mój dowódco, lewo w tył... ale nim się puszczę w tę przyjemną pielgrzymkę... oto jest świstek, który proszę, aby przyjaciel Maurycy... (*podaje papier*)

KASIA. (*chcąc go złapać*)

Ja podreę ten świstek...

BERTRAND. (*zatrzymując ją i oddając papier Maurycemu.*)

Za pozwoleniem... bez tych wszystkich mamuniu... Samabyś się tém zmartwiła... to jest jego dymissja...

W S Z Y S C Y.

Co słyszę!

K A S I A.

Co mówisz?

L U D W I K A.

Czy podobna?

MAUR YCY. (*przebiegłszy papier oczyma*)

Tak, moja dymissja... uwolnienie!... Już nie oddalę się!... co to znaczy?

B E R T R A N D.

To znaczy, że możesz pozostać w twojej chacie!

KASIA. (*odchodząc od siebie*)

Mój brat!...

LUDWIKA. (*podobnie*)

Maurycy!

K A S I A.

Ah ja owarjuję z radości!... Jako panie sierżancie, ten papier!... (*całuje go kilkakrotnie*)  
I to pan nam przynosisz, oh! jakżeś dobry! jakżeś dobry! jakżeś piękny!

BERTRAND. (*z uśmiechem*)

Zna się dziewczyna.

KASIA. (*skacząc do szyi Bertrandowi*)

Muszę pana pocałować.

B E R T R A N D.

Proszę śmiało... jeżeli to jej przyjemnie...

LUDWIKA. (*skacząc z drugiej strony*)

I ja także...

B E R T R A N D.

Dalej... dalej... do tego jestem zawsze gotów, to chętnie się przyjmuje; może podoba wam się powtórzyć.

K A S I A.

Och z całego serca!

M A U R Y C Y

Kasiu, przynieś wina... wypijemy kieliszek...

B E R T R A N D.

I dwa nawet... i trzy... jeżeli będzie okoliczność po temu...

K A S I A.

Biegnę...

M A U R Y C Y.

Najlepszego wina!...

B E R T R A N D.

Otóż to najlepszego! lubię kiedy tak mówią...

(*siada do stołu z Maurycym i je przez całą scenę*)

M A U R Y C Y. (*do Ludwika*)

Ale jeszcze temu wierzyć nie mogę... to mi się zdaje być snem. — Ludwiko, więc zostanę przy tobie!

(*Bertrand przy stole, Maurycy i Ludwika przy Bertrandzie.*)

B E R T R A N D.

Wiem, że się niebardzo gniewasz, nie łatwo się porzuca tak miłego kolegę; (*Ludwika spuszcza oczy*) Nie obawiaj się moja piękna... nie uchybię przyzwoitości...

K A S I A. (*wraca i stawia dwie butelki*)

Ha! otóż są, biegłam co miałam tchu!... pijcie!

M A U R Y C Y. (*nalewając*)

Ale objaśnij mię, jakim sposobem to uwolnienie... bo jeszcze nic nie rozumiem.

B E R T R A N D.

Dobrze żeś mi przypomniał, zapomniałem połowę rozkazu.

MAURYCY. (*trącając się kieliszkiem*)  
Twoje zdrowie!...

B E R T R A N D.  
Wzajemnie! nie zapominając tych ładniejszych stworzeń! (*do Kasi*) Gdybyś panienka raczyła... chociaż usteczka...

K A S I A.  
Z całego serca! (*pije z podanego kieliszka*)

B E R T R A N D. (*wychylając duszkiem*)  
To nektar prawdziwy! (*dobywa papier z kieszeni*) Masz siostrę..., panna Katarzyna Pilois...

K A S I A. (*klaniając się po żołniersku*)  
Jest!

B E R T R A N D.  
Dobrze! ciało cokolwiek naprzód, prawa ręka do czapki! Lubię pustotę w kobiecie!... No, a teraz kaprału... oto jest rozkaz... (*daje jej list*)

K A S I A. (*biorąc list i otwierając go*)  
List? do mnie?

B E R T R A N D.  
Do niej samej...

K A S I A.  
Jeszcze też nigdy listu nie odebrałam!

MAURYCY. (*wtenczas gdy Kasia czyta*)  
Któż może pisać do niej, i kto oddał ten list?

B E R T R A N D.  
Człowiek nieznamy mi zupełnie.

MAURYCY.

I do mojej siostry? (*widząc jej poruszenie*)  
Cóż to Kasiu... cóż ci jest?

KASIA. (*nieco wzruszona*)

Mnie... nic... nic... Ah to dziwnie! ale prawda,  
mówiłam... ma słusność!... wszystko mi jedno!

MAURYCY. (*żywo*)

Ale mnie nie wszystko jedno... i chcę wie-  
dzieć... (*bierze list*)

BERTRAND. (*pijąc*)

- Sprawiedliwie, brat jest to najlepszy przyja-  
ciel.....

LUDWIKA. (*przy Maurycym*)

Cóż jest w tym liście?

MAURYCY. (*czytając*)

»Mościa panno! nie znasz mnie, ale ja widzia-  
»łem cię przed chwilą, kiedy bliskie oddalenie  
»twojego brata w rozpacz cię wprowadziło!... by-  
»łem niedaleko ciebie!...

LUDWIKA. (*wskazując drzwi na prawo*)

Byłżeby to ten podróżny!...

K A S I A.

Słyszał nas!

MAURYCY.

»Idę w miejsce twojego brata!... on ci jest  
»potrzebnym, a mnie nikt nie potrzebuje na świe-

»cie; nie mam familji, przyjaciół, ale jestem u-  
»czciwym i kocham cię od chwili, kiedym cię wi-  
»dział płaczącą!... Jeżeli masz litość nademną,  
»doręcz oddawcy ten krzyżyk złoty z włosami  
»twojego ojca, on dojdzie rąk moich... przy-  
»sięgnąłeś... pamiętasz zapewne przysięgę... zacze-  
»kaj dwa lata... a jeżeli nie zginę, sam ci go od-  
»niosę!...

B E R T R A N D.

W istocie... jeżeli zginie... nie możnaby tego  
wymagać po nim...

MAURYCY. (*czytając*)

»Żegnam cię Katarzyno, pamiętaj na to, coś  
»przysięgła!... (*do siebie*) Bez podpisu!...

L U D W I K A.

Mniejsza o to... zacny człowiek!

MAURYCY. (*do sierżanta*)

Nie wiesz kto on jest?

B E R T R A N D.

Nie wiem wcale!...

MAURYCY. (*do Katarzyny*)

A ty nie przypatrzyłaś mu się?...

K A S I A.

Nie miałam nawet tego na myśli...

M A U R Y C Y.

To nie do pojęcia... nieznajomy, który ko-



rzysta ze słowa przypadkiem wyrzeczonego... i który śmie żądać...

K A S I A.

Ja nie cofam mojego przyrzeczenia... prawda sierżancie, że uczciwi ludzie raz tylko dają słowo... Całym mojem bogactwem dobre serce i niejaki wdzięki, wszystko dla ocalenia ciebie chętnie oddaję; gdybym miała więcej, takżebym poświęciła z duszy.

B E R T R A N D.

Wszakże i najładniejsza dziewczyna, to tylko oddać może co ma, nieprawdaż panie Maurycy?

M A U R Y C Y.

Tak... -ale ja nie mogę przyjąć podobnego poświęcenia. Nie! chcę dymisji, idę z tobą.

K A S I A.

Co?

LUDWIKA. (*przestraszona*)

Nieba!

M A U R Y C Y.

Widzę dobrze jej trwozę, biedna sestro! zobowiązywać się do podobnej ofiary. Mam być winien moje szczęście czynności, która bym się okryła wstydem i rozpaczą?! Nie!... nie chcę takiego zastępcy...

KASIA. (*zatrzymując go, mówi z żywością*)

A jeżeli ja chcę, jeżeli on mi się podoba...

M A U R Y C Y.

Nie znając go!...

K A S I A.

Może właśnie dla tego... to tak dziwnie!... tak szczególnie!... dla kobiet nie trzeba więcej... po tem co uczynił... jest to postępek uczciwego człowieka.

L U D W I K A.

Bardzo uczciwego!

K A S I A.

Prócz tego... on jest sam na świecie... nieszczęśliwy!... kto wie, może też mam chęć kochać go, może go już kocham.

M A U R Y C Y.

Ty!

K A S I A.

Jeżeli dodasz jeszcze słowo, będę go kochać do szaleństwa! (*milczenie, patrząc na sierżanta z pod oka*) Tylko... chciałabym wiedzieć... nie żebym przywiązywała co do tego... ah mój Boże! to drobnostka... on mógł być brzydki, bardzo brzydki... aby tylko zdobyły go piękne przymioty serca! (*n. s.*) Jednakże... nie byłoby bardzo przyjemnie... gdyby...gdyby... (*zbliżając się do sierżanta i z pochlebstwem*) Powiedz mi panie sierżancie!...

B E R T R A N D.

Co?

K A S I A.

Widziałeś go?

B E R T R A N D.

Hm... to jest...

K A S I A.

Czy on młody?

B E R T R A N D.

Do pioruna... przecież jest popisowy...

K A S I A.

Tak to słusznie... a młodzi są zawsze... On jest przyjemny, nie prawda, nie mówię ładny?

B E R T R A N D.

Puh!...

K A S I A.

Blondyn czy brunet?

B E R T R A N D.

Ale...

K A S I A.

To dla mnie wszystko jedno, ja żadnej nie czynię różnicy...

B E R T R A N D.

Przyznam się, bo było ciemno, a w nocy wszystkie koty...

K A S I A. (z żywością)

Nakoniec, nie jest ani kulawy, ani garbaty?

B E R T R A N D.

Kulawy, garbaty... czyliż takich przyjmują?...

KASIA. (*zdejmując krzyżyk ze szyi, głosem wzruszonym*)

A więc!... zanieś mu ten krzyżyk z mojem przyrzeczeniem!... powiedz mu: że od tej chwili do niego należę, że jestem jego żoną, nigdy innego nie zaślubię; że codziennie błagać będę Boga o zachowanie jego dni! Potem i ty go nie opuszczaj, staraj się powrócić z nim, abyś mi mógł powiedzieć: to on, jest godnym ciebie. Zaczął jak uczciwy człowiek, i tak ciągle postępował.

BERTRAND. (*wzruszony*)

Do pioruna!...

M A U R Y C Y.

Tego nie zniosę!...

KASIA. (*z stałością*)

I ja także, jestem narzeczoną, a zakład mojej wiary złożony w rękę żołnierza!

LUDWIKA I MAURYCY.

Kasiu!

KASIA. (*wetłzach i rzucając się w ich objęcia*)

Dobry bracie!

BERTRAND. (*ocierając łzy*)

Do kroćset granatów!... tego już dawno nie doświadczyłem, płaczę jak dziecko. Wstydź się

stary... oh! co to za dziewczę! Ja sam gdybym wiedział, że taki skarb posiędę, dałbym się nawet zabić dla niej... abym tylko potem mógł się z nią ożenić.

(*Słychać w odległości odgłos bębna*)

W S Z Y S C Y.

Co słyszę?

B E R T R A N D.

Znak wymarszu.

K A S I A.

Nieba! on oddali się...

MAURYCY. (*chcąc odejść*)

On!

LUDWIKA. (*zatrzymując go*)

Wstrzymaj się!

K A S I A.

A ja go widzieć nie będę, nie poznam go (*do sierżanta półgłosem, uśmiechając się*). Chciałabym jednakże wiedzieć...

B E R T R A N D.

Czy ładny chłopiec?...

K A S I A.

Nie, oh!... ale nakoniec... on prawie jest moim mężem.

B E R T R A N D.

W istocie, byłoby czas poznać go, abyś później, jeżeli się przypadkiem zobaczycie, mogła

powiedzieć: to mój mąż!... (*zcicha*) Słuchaj: szeregów opuścić nie można, ale, oni tędy będą przechodzić... (*pokazując w głąb*) Stań tu, i uważaj dobrze; ja się postaram, aby on był czwartym z kolei.

K A S I A.

Jakto?

B E R T R A N D.

Cicho!

K A S I A.

Ah, zobaczę go!...

(*Odgłos bębna odzywa się znowu z daleka*)

B E R T R A N D.

Trzeba już opuścić te miejsca. Żegnam was!..

K A S I A.

Niech cię Bóg prowadzi!

(*Bertrand ściska za rękę wszystkich i oddala się dając znaki Katarzynie. Drzwi i okna w głębi otwarte, odgłos bębna przybliża się coraz bardziej*)

## ! SCENA XI.

CIŻ I BERTRAND (*na czele oddziału rekrutów, przed niemi doboasz, przechodzą w głębi.*)

(*Dobosz bębni marsza*)

M A U R Y C Y.

Już się zbliżają!

K A S I A.

Już są!

MAURYCY.

A ja nie mogę uścisnąć jego ręki!

LUDWIKA.

I pobłogosławić mu!

KASIA. *(z radością)*

Cicho, zobaczymy go, on jest czwartym z kolei!...

MAURYCY, LUDWIKA.

Czwarty!

KASIA.

Czekajcie...*(liczy jak przechodzą)* Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty... To on!... A mój Boże! kapelusz twarz mu zasłania... Nie można zobaczyć... zatrzymuje się, mój krzyżyk w jego ręku! pokazuje mi go odwracając głowę!... to on!... o Boże... już go widzieć nie będę..*(chce biedz, siły ją opuszczają, pada na ręce Ludwika i Maurycego.)*

LUDWIKA i MAURYCY.

Siostro!

KASIA. *(po chwili klęka wyciągając ręce za nieznajomym)*

Zegnam cię, żegnam!

*(Odgłos bębna oddala się, zasłona zapada powoli.)*

## A K T II.

*(Podwórze pięknego folwarku, zamieszkanie jest po lewej stronie. W głębi rzeka, młyn, po prawej pawiljon.)*

### SCENA I.

LUDWIKA, HUBERT, MŁODZIEŻ.

*(Za podniesieniem zastony, Ludwika siedzi przy małym stoliku i zapisuje w książkę pieniądze, które odbiera.)*

L U D W I K A.

Dobrze! moje dzieci! później obliczę się z wami!

H U B E R T.

O jesteście w tym względzie spokojni.

L U D W I K A.

Cóżeście tam w mieście słyszeli?

H U B E R T,

Ze wojna już się ukończyła.

L U D W I K A.

Dzięki niebu! to i mój mąż powróci do domu, poszedł do wojska, chociaż dał zastępcę... prawda, że dopiero później...

H U B E R T,

I nie widział jeszcze swojego małego synka. Ale czy pani nie ma żadnej wiadomości?...

L U D W I K A.

Od trzech miesięcy prawie żadnej.



KASIA. (*za sceną*)

Ludwiko!... Ludwiko!...

L U D W I K A.

To Kasia, ona co rano biega na pocztę.

H U B E R T.

Trzyma w ręku jakiś papier!

KASIA. (*za sceną*)

List! list!...

L U D W I K A.

List!

## SCENA II.

LUDWIKA, KASIA. (*zadyszana*) HUBERT.

K A S I A.

To od niego!

LUDWIKA. (*biegnąc do niéj*)

Od Maurycego?

K A S I A.

Poznałam pismo.

L U D W I K A.

Dawaj!

KASIA. (*zatrzymując*)

Za pozwoleniem, za to, że codzień biegam,  
ja sama przeczytam.

L U D W I K A.

Spiesz się więc.

KASIA. (*oddychając*)

Ah minutkę!... tak biegłam... ah! ah! (*do wszy-  
stkich*) słuchajcie,

H U B E R T.

Panny cicho.

(*Wszyscy otaczają Ludwikę i Kasię*)

KASIA. (*czytając*)

»11 Maja...

»Kochana Ludwiko! droga siostró! powra-  
»cam do was, jeszcze dziś w wieczór puszcza-  
»m się w drogę!...

L U D W I K A.

Więc od dwudziestu dni wyjechał, powinien  
już być tu?

K A S I A.

Czekajno! (*czyta*) »Jedziemy nieco powoli,  
»z przyczyny mojego biednego porucznika, któ-  
»ry jeszcze niezupełnie wyzdrowiał z odniesio-  
»nej rany, on mieszka jeszcze o kilka mil za na-  
»mi; zacny człowiek, dał mi nie mało dowodów  
»swojej przyjaźni. Chciałbym go zatrzymać u  
»nas przez czas niejaki; ale jego sposób myśle-  
»nia jest tak szczególny... tak dziki... Ucieka od  
»świata, i dla tego tylko prosił o dymisję, że  
»się wojna skończyła.« (*przerywając*) A to mu-  
»si być przyjemne towarzystwo! (*czytając*) »My-  
»śle, że musi mieć zmartwienie! pewny jestem,  
»że Kasia rozweselić go zdoła.« (*przerywając*)  
Niby to tak łatwo takiego starego mruka! (*czy-*

tając) »Weźmiemy dyliżans w Quimper, który  
»się zatrzymuje pod zielonym krzyżem, przy-  
»szlij kogo po nasze bagaże... Mam nadzieję, że  
»was wszystkich uściskam trzeciego rano.

L U D W I K A.

Trzeciego!... to dziś!

KASIA. *(kończąc prędko)*

»Do widzenia!... ucałujcie odemnie mojego  
»malca!... Maurycy.«

L U D W I K A.

Może już przyjechał!

KASIA. *(oddając list Ludwice)*

Trzeba kogo posłać.

L U D W I K A.

Ojcie Filipie!...

H U B E R T.

Biegnę pani, ten dobry Maurycy...

LUDWIKA. *(do dziewcząt)*

Wy dziewczęta, uprzątnijcie izby, przygoto-  
wać łóżka, bieliznę, śpieszcie się!

*(Wszyscy wychodzą w różne strony.)*

### SCENA III.

LUDWIKA, KASIA.

LUDWIKA. *(trzymając list i odczytując go  
z wzruszeniem)*

I nie mogę biedz na jego spotkanie!... trze-  
ba zostać przy małym.

K A S I A.

Ah mój Boże, trzeba mu dać rosołku... i u-  
myć buzię temu tłustemu chłopakowi, żeby u-  
ściskał swojego tatkę!... (*nieco kwaśna*) Ej dla  
czego mój brat przyprowadza ze sobą... To  
nam będzie przeszkadzać, obcy... stary gderacz  
z siwemi wąsami... już go widzę... jak mruczy  
ustawicznie...

LUDWIKA. (*która przebiegła list*)

Widzisz ty trzpiocie! pięknieś czytała... tu je-  
szcze jest coś...

K A S I A.

Post-scriptum?

L U D W I K A.

Które się ciebie tycze.

K A S I A.

Eh!...

LUDWIKA. (*czytając*)

Słuchaj — »pytałem się wszędzie o tego po-  
»zeciwcę, który mię zastąpił i o sierżanta Ber-  
»tranda... najmniejszej wiadomości, widać, że  
»już poginęli!...

K A S I A.

O nieba!

L U D W I K A.

A my nigdy prawie o nim nie mówiły... o tym,  
któremu tyle jesteśmy winne...

K A S I A.

Oh ty nie miałaś czasu... byłaś szczęśliwą, ale ja codziennie, co godzina prawie myślałam o nim, i kochałam go nie znając; każdego wieczoru, klęcząc, błagałam Boga, aby czuwał nad nim, ponieważ on uratował mi brata! I on miałby zginąć!

L U D W I K A.

Od dwóch lat nie dał nam żadnej o sobie wiadomości... Dwa lata upłynęły...

K A S I A. (*smutno*)

A ja go nie widziałam... nigdy sobie twarzy jego przypomnieć nie będę mogła, ale to wszystko jedno, ja mu dla tego wierną pozostanę.

L U D W I K A.

A jeżeli stawi się przed tobą jaki ładny chłopiec, mile spojrzysz na ciebie...

K A S I A.

Mniejsza o to, a potem ja nie mogę temu wierzyć, aby on zginął, może dostał się do niewoli... powróci... zobaczysz, mam przecucie.

L U D W I K A. (*z ironją*)

Oh twoje przecucie!... miałaś także przecucie, że Maurycy wyciągnie dobry numer!...

K A S I A.

No i cóż... ale nie poszedł, nie zginął. A najlepszy dowód...

MAURYCY. (*za sceną*)

Ludwiko! Kasiu!

K A S I A.

To jego głos! (*biegną na jego spotkanie*)

MAURYCY. (*ubiegając*)

Żono! siostro!

LUDWIKA i KASIA.

Mężu! bracie! (*ściskają się*)

## SCENA IV.

TEŻ, MAURYCY, KAROL BOUDET. (*oba w ubiorze podróżnym, cokolwiek tylko oznak wojskowości*) HUBERT, CHŁOPCY, DZIEWCZĘTA (*z folwarku, niosąc tłomoki, które wnoszą do Pawiljonu*)

M A U R Y C Y.

Ah jakżem szczęśliwy! przyciskam was do mojego serca!...

LUDWIKA i KASIA.

Boże! dziękujemy ci!

M A U R Y C Y.

Przedstawiam wam mojego porucznika (*do Ludwiki i Kasi*) zasłużył na wasze przywiązanie.

L U D W I K A.

Będąc twoim przyjacielem, już tём samem posiada nasze serca.

M A U R Y C Y.

A mój maly!... którego nie znam jeszcze... gdzież on jest?...

L U D W I K A.

Spi.

MAURYCY. (*z uśmiechem*)

Także to przyjmuje swojego ojca... Pójdę go uściskać!...

K A S I A.

Ale on jeszcze nie ubrany!

M A U R Y C Y.

Cóż to szkodzi... (*do Karola*) Pozwolisz mój poruczniku... wrócę natychmiast!... (*bierze Ludwikę i odchodzi z nią na chwilę*)

KASIA. (*idąc za niemi patrzy z pod oka na Karola*)

Porucznik... tak młody!.., a ja. bylam pewną że ogromne wąsy!... a to nie...

HUBERT. (*do innych ktorzy się przypatrują Karolowi*)

Porucznik!... to nie bagatela... to już (*do Karola*) Usiądźcie panie, prosimy.--

KAROL. (*zimno*)

Dziękuję!

KASIA. (*zbliżając się*)

Pan Porucznik musi być utrudzony? (*Karol podnosi oczy, patrzy na nią przez chwilę nie odpowiadając, po milczeniu z westchnieniem.*)

K A R O L.

Cokolwiek tylko...

K A S I A.

Więc spodziewamy się, że pan u nas czas niejaki zabawi.

K A R O L.

Nie!...

K A S I A.

Jakto, jużbyś pan nas chciał porzucić?...

K A R O L.

Tak.

K A S I A. *(po chwili, patrząc na niego)*

Tak... nie... Jeżeliby kto powiedział, że on jest gaduła, byłby bardzo niesprawiedliwym!

MAURYCY. *(wracając z żoną)*

To mój portret... Moi przyjaciele dziękuję wam za wasze przywiązanie; dziś wieczorem wypróżniemy sobie beczułkę wina za zdrowie mojego zacnego porucznika i na cześć zawartego pokoju!

H U B E R T.

Beczułkę wina!... Niech żyje pan Maurycy.

W S Z Y S C Y.

Niech żyje! *(odchodzą)*

## SCENA V.

LUDWIKA, KASIA, MAURYCY, KAROL.

MAURYCY.

Co za raskosz widzieć was znówu! Oto jest mój porucznik, ten dobry Karól Boudet... Ka-



siu, Ludwiko, pazypatrzcie mu się dobrze, gdy-  
by nie on, nie miałybyście brata, męża...

LUDWIKA, KASIA.

Jakto?

KAROL. *(z przykrością)*

Maurycy, czy znowu nudzić mię będziesz?...  
chcesz żebym odszedł.

MAURYCY.

Nie, ubłagam cię, ale daruj mi... Czy widzi-  
cie tę bliznę na jego czole? to samo dostatecznie  
przemawia... ten cios mnie był przeznaczony.

LUDWIKA, KASIA.

Czy podobna!

*(Maurycy wprowadza Karola, między Lu-  
dwikę i Kasię.)*

LUDWIKA.

Tobiem winna męża!...

KASIA. *(przy nim cisnąc się)*

Jakże ci zdołamy zawdzięczyć!...

MAURYCY. *(wesół)*

Najprzod uściskać go.

KAROL. *(broniąc się zlekka)*

Nie, nie... to nie warto takiej nagrody.

MAURYCY. *(śmiejąc się)*

On się tego boi!... bo nie wiecie to jest mło-  
dzieniec najskromniejszy.

K A S I A.

Ale dla tego może przyjąć naszą przyjaźń...  
nasze starania...

L U D W I K A.

Nasze przywiązanie...

K A R O L.

Jestem zawstydzony, przysięgam wam, nie  
takiego nie uczyniłem... jeżeli był tak szczę-  
śliwy zasłonić przypadkiem mojego przyjacie-  
la... to nie zasługuje...

M A U R Y C Y.

Tak, tak, on-tak zawsze. Ale zostaniesz z na-  
mi, będziesz żył w pośród nas...

K A R O L.

Ja?...

M A U R Y C Y.

Już od dawna ten plan mam w głowie. Nie  
mówiłem ci o nim, ponieważ ciebie wszystko  
przestrasza... ale myślałem sobie. *(do Ludwika)*  
Daj nam butelkę, abyśmy się do woli nagadać  
mogli czekając obiadu...

LUDWIK A, *(wychodzi i wraca po chwili)*

Natychmiast mój mężu!

MAURYCY. *(siadając przy stole z Karolem)*

Myślałem sobie: otóż już wojna skończona.  
Mój porucznik wziął dymisję, dla czegożby zna-  
mi nie miał pozostać? Od dwóch lat jak ożeni-

łem się z moją Ludwiką; Bóg nam pobłogosławił.  
w zbiorach, w majątku, mamy dobrych sąsiadów,  
przyjaciół, on pomnoży ich liczbę! będzie so-  
bie miał swoją izbę tam w pawiljonie (*pokazu-  
jąc na prawo*) będzie czynił co mu się tylko  
będzie podobało.

K A S I A.

Wyborna myśl!

L U D W I K A.

Nie opuszczasz nas!

KAROL. (*wzruszony nieco*)

Mój dobry Maurycy... jestem wzruszony  
w istocie... (*z westchnieniem*) Ale ja nie mogę...  
muszę odjechać!...

M A U R Y C Y.

Aby żyć samotny w swoim opuszczonym do-  
mu w Pontiwry...

K A S I A.

Samotny! ah jak to nudno! sam, zawsze sam!

M A U R Y C Y.

Masz tylko dalekich krewnych...

L U D W I K A.

Przyjaciele, są lepsi od krewnych.

K A S I A.

To pewna!

K A R O L.

Przyznaję; ale muszę odjechać.

M A U R Y C Y.

Czyliż ci się okolice nie podobały?

K A R O L.

Prześliczne!

M A U R Y C Y.

Może moja żona wydaje ci się złą?

K A R O L.

Co mówisz!

M A U R Y C Y.

Albo siostra brzydką?

K A R O L.

Przeciwnie, bardzo ładna.

KASIA. (*n. s.*)

A mój Boże!... jakże mu to ciężko wymówić przyszło.

M A U R Y C Y.

A więc?...

K A R O L.

Muszę odjechać!... Chciałem was zobaczyć, widziałem, jesteście szczęśliwi, cieszy mię to i odjeżdżam. (*wstaje*)

MAURICY. (*zatrzymując go i idąc na prawą stronę Karola*)

A to uparty! A chrzciny mojego chłopca? Przyrzekłeś trzymać go do chrztu z moją siostrą. (*do siostry*) Widzisz, że masz kuma...

K A S I A.

Przedoskonałego...

MAURYCY. (*do Karola*)

No, spodziewam się, że i matka chrzestna...  
he?

KAROL.

Ah to panna miała być?...

KASIA. (*n. s.*)

To go cokolwiek łagodzi.

KAROL. (*wahając się*)

W istocie, toby było roskoszą dla mnie... ale  
ja muszę...

MAURYCY.

Ah już wiem, już śmy słyszeli!

KASIA. (*urazona*)

Grzeczni bardzo ci panowie.

LUDWIK A.

A ja kazałam już rzeczy pana zanieść do pa-  
wiljonu...

KAROL.

Pani jesteś zbyt dobra... ale ważny, bardzo  
ważny interes... i jeżeli Maurycy nie może mi  
pożyczyć ofiarowanej bryczki...

MAURYCY. (*z gniewem*)

Toby poszedł piechotą!... (*wstając*) Cóż u  
licha! choć chwilę, dasz przynajmniej czas za-  
prządz... (*do Ludwiki*) Nic mi się nie udaje...  
myślałem...

LUDWIKA. (*cicho*)  
Co?

MAURYCY. (*cicho*)  
To byłby wyborny mąż dla Kasi.

LUDWIKA. (*cicho*)  
Ale tamten.

MAURYCY.  
Tamten, już go nie ma na świecie! Ale ten  
nie chce rozumieć, chce odjechać... (*dając zna-  
ki siostrze*) Kasiu, postaraj się, aby z nami po-  
został.

KASIA. (*cicho, wskazując na Karola, który  
siadł zamyślony*)

To nie tak łatwo!...

MAURYCY.  
Panie poruczniku! każę zaprzęgać.

KAROL. (*n. s.*)  
Trzeba być rozsądnym, przyjaźń uprzęda  
moje życzenia.

KASIA. (*cicho do Ludwika i Maurycego*)  
Jemu jakaś tajemnica ciąży na sercu, to ła-  
two dostrzedz można, (*z uśmiechem*) gdybym  
była zalotną, starałabym się jej dociec.

LUDWIKA i MAURYCY.  
Niech tylko z nami zostanie. (*Ludwika i Mau-  
rycy odchodzą na lewo.*)

## SCENA VI.

KASIA, KAROL.

*(Karol siedzi na boku i myśląc że jest sam zapala fajkę. Kasia siedzi po drugiej stronie sceny i szyje czapeczkę dziecinną.)*

KASIA. *(n. s.)*

Jaka twarz melancholiczna!... jednak zajmująca pomimo tego.

KAROL. *(po chwili wzdycha)*

Ah!

KASIA. *(n. s.)*

Co za westchnienie!... pewno go zwiódła jakaś jéjmość!... to zaraz widzieć można!...

KAROL. *(myśląc że jest sam)*

Nie myślmy o tem więcej.

KASIA. *(n. s.)*

Tak wszyscy mówią... a jednak myślą zawsze!.. Chciałabym poznać jego tajemnicę... ale dla tego tylko, że może jest sposób pociechy!... *(patrząc z pod oka)* On bardzo przystojny... *(kaszle zcichu)* hem! hem!

KAROL. *(drżący)*

Jako! zostawili nas!

KASIA. *(n. s.)*

Widział mię... a ja niby nie widzę!

KAROL. (*pałac fajkę*)

Maurycy poszedł, ja nie przywykłem do sam na sam...

KASIA. (*n. s.*)

Oto jest w kłopotcie... To zabawnie, mężczyzna, który odbył kampanję, a obawia się kobiety.

KAROL. (*n. s.*)

Muszę jednakże powiedzieć jej jaką grzeczność!... (*wyjmuje fajkę z ust i po chwili*) Może panna nie lubi dymu z tytoniu?

K A S I A.

Przeciwnie...

K A R O L.

Oh to mię bardzo cieszy...

K A S I A.

Tak jest, tak pana cieszy, że z radości pragniesz odjechać, zagrzebać się w ustroniu...

KAROL. (*łagodniej*)

Jaki głos miły... (*głośno*) Kiedy kto jest nieszczęśliwym, to mu tylko uczynić pozostaje...

K A S I A.

Nieszczęśliwym, nieszczęśliwym! bo może pan jesteś zbyt wymagającym! Nie staram się poznać jego tajemnicę... ale powiedz mi, dla czego odrzuciłeś ofiarę mojego brata?



KAROL. (*wstrząsając głową*)

Ah do licha!...

K A S I A.

Dla czego nie chcesz trzymać ze mną do chrztu? Fe! to niepięknie! wstydz się pan.

KAROL. (*patrzając na nią*)

Ale bo... posłuchaj mię panno Katarzyno... może to byłoby zbyt niebezpiecznym dla mnie.

KASIA. (*udając, że nierozumie*)

Jakto?

KAROL. (*z uśmiechem*)

Tak jest... gdybym nakoniec... nie można wiedzieć... gdybym...

KASIA. (*j. w.*)

Cóż takiego?

KAROL. (*wahając się*)

Do pioruna!... gdybym... też wacpannęę pokochał?

KASIA (*n. s.*)

No... to nie źle się już zaczyna...

K A R O L.

Ale to jest tylko żart... bo...

K A S I A.

Oh wiem dobrze...

K A R O L.

Bo młoda i piękna, otoczona mnóstwem ładnych chłopców, którzy ci się zalecają... niepodobna, abyś nie uczyniła wyboru.

K A S I A.

Ja, Boże... nie—nie wybrałam nikogo!

KAROL. (*zadziwiony*)

Czy tak? (*przysuwa stolec*)

KASIA. (*patrząc z pod oka*)

Przysunął się trochę.

K A R O L.

Jednakże twój brat chce cię wydać za mąż; mówił mi ciągle o swoich zamiarach, o chęci wyszukania ci przyszłego, i sądziłem naturalnie...

K A S I A.

Wcale nie, nie było jeszcze wzmianki...

KAROL. (*chowa fajkę do kieszeni i przybliżając się jeszcze*)

Ah!... nie idziesz za mąż?...

K A S I A.

Nie...

K A R O L

To co innego... w takim razie... (*nagle się zatrzymuje i mówi oziębło, patrząc na robotę Kasi*)  
Cóż to panna robisz?

KASIA. (*uśmiechając się do niego*)

Czapeczkę dla naszego syna chrzestnego.

K A R O L.

Dla naszego syna chrzestnego?

K A S I A.

Tak jest... Pan będziesz moim kumem... ja to sobie już ułożyłam.

K A R O L.

Ah... jeżeli koniecznie żądać będziesz... mógł-  
bym tu wrócić...

KASIA. (*n. s.*)

To już jest coś!... (*głośno*) Ale kiedy pan po-  
wrócisz, trzeba być weselszym jak dziś!... Wi-  
dzisz pan, ja pragnę zmienić pański charakter;  
nie żądam poznania jego skrytości... o mój Bo-  
że! wcale nie, ale nakoniec co panu jest? Dla  
czego te westchnienia, ten smutek, ta postać  
nieszczęścia?...

KAROL. (*wzruszony do głębi*)

Ponieważ jestem nieszczęśliwy, ponieważ za-  
wsze nim byłem...

KASIA. (*z zajęciem*)

Ty!

KAROL. (*j. w.*)

Ponieważ nigdy nie byłem kochany—nigdy!...  
od nikogo!...

KASIA. (*zbliżając się także*)

Biedny człowiek... a twoja matka?...

KAROL. (*wznosząc oczy w niebo*)

Nie znałem jej!... miałem tylko ojca i starsze-  
go brata, którego przenosił nademnie... Wszyst-  
ko co on zrobił, było dobrze, wszystko co ja

zrobiłem, było źle. On był jego bożyszczem, jego Benjaminem... i to już miano za wielką łaskę, że był w domu. Jego okrywano pieśczołami, a mnie surowością!... byłem niezgrabnym, głupim... słyszałem tylko zawsze te wyrazy: »Oh szkaradny chłopiec!« Nawet stara ciotka powstała na mnie, gdy udeptał jej pieska.

K A S I A.

Oh te stare ciotule są nieznośne z ich psami, kotami...

K A R O L.

Oddalono mię z domu, poszedłem do wojska; ale i tam nie byłem szczęśliwszy. Poniosłem ze sobą ten sposób myślenia, dziki, ponury... Odepchnięty od wszystkich, nie wierzyłem nikomu — kiedy kolega podawał mi rękę, unikałem jej; gdy przyjaciel uśmiechał się do mnie, mówiłem do siebie: oszuka mię... A jednakże wyznam szczerze, byłem dobrym, tkliwym... posiadałem serce, które wymagało tylko cokolwiek współczucia, politowania, aby się oddać zupełnie; ale zdęczony, niepoznany, wszystkich mężczyzn znienawidziłem!...

K A S I A.

A kobiety?

K A R O L.

Kobiety!... oh domyślasz się, że będąc tak nie-  
szczęśliwym, rzadko zbliżałem się do nich.. (*wol-  
no*) Raz tylko zdawało mi się, że napotkał tę,  
którą miałem kochać do zgonu... Ah! wtenczas  
byłem szczęśliwy! (*z westchnieniem*) ale i to  
było marzenie, szaleństwo.., zapomniano mię  
zupełnie... jestem pewny (*wstając*) dla tego to  
chcę unikać świata... dla tego po tysiąc razy na-  
rażałem się na śmierć... i ta nawet mię omijała...

KASIA. (*n. s.*)

Biedny człowiek... (*wstała także*) No panie  
Karolu, ale teraz masz przyjaciół... mój brat... a  
potem ja, która szczerze jestem do ciebie przy-  
wiązana...

K A R O L.

Ty Kasiu!

K A S I A.

Tak... i nie wiem co bym dała za to, żeby cię  
widzieć szczęśliwym, nie trzeba żyć samotnie...  
stałbyś się złośliwym, dziwakiem, toby wielka  
szkoda była. Ze się raz było zwiedzionym, nie  
jest powód, aby nim być zawsze! Jestem pewną,  
że w końcu znajdziesz dobrą żonę, ładną, któ-  
ra cię kochać będzie dla ciebie samego, pysznić-  
się, że do ciebie należy, że nosi twoje nazwisko...

K A R O L.

Co mówisz? nie smiem wierzyć takiemu szczęściu.

K A S I A.

Twój los kogóżby nie wzruszył?

K A R O L.

Posiadać serce, któreby mojemu odpowiadało, ah, żeby je znaleźć, poszedłbym na koniec świata..

KASIA. (*spuszczając oczy*)

Może nie trzeba chodzić tak daleko...

KAROL. (*uwważając ją*)

Co słyszę?

KASIA. (*wzruszona*)

Ja, panie Karolu nic nie powiedziałam.

K A R O L.

Oh tak... to spojrzenie... te n głos drżący i wzruszony, byłoby to prawdą? ah przez litość nie uwodź mię!... Gdyby ta nadzieja znikła, umarłbym niezawodnie, zarazbym sobie życie ukroił.

KASIA. (*przestraszona*)

Otóż do swojego wraca!

KAROL. (*odchodząc od siebie*)

Nie, nie zabiłbym się... Ale gdybym był kochany... gdyby kto przez litość, przez dobroć chciał się zająć mojem szczęściem... całe życie

nie wystarczyłoby na zawdzięczenie tak wielkiego dobrodziejstwa, owarjowałbym z radości.

K A S I A.

On teraz owarjuje!

KAROL. (*biorąc jej rękę*)

Nie, nie... ale gdybyś to ty była... ty...

KASIA. (*z uśmiechem*)

Nie obawiałbyś się, abym cię nie zwiódła.

K A R O L.

Czyliż cię nie znam, czyliż twój brat nie powiedział mi...przybywając tu, wyznam ci, to była moja ostatnia nadzieja!

K A S I A.

Doprawdy?

K A R O L.

Nie Katarzyno, ty nie zdolna jesteś zdradzić mię, i gdybyś mi powiedziała podając rękę: Karolu, kocham cię... jestem twoją, należę do ciebie; byłbym spokojny, bo powiedziałaś to pierwszy raz w twojem życiu, a nigdy nie uchylałabyś twojej przysiędze!

KASIA. (*przypomniawszy sobie po tych ostatnich słowach*)

Przysięga!... oh wielki Boże!... co mówisz?... jużem ją wykonała innemu, a zapomniałam!

KAROL. (*uwważając jej pomieszenie*)  
Co ci jest?...

KASIA. (*blada i drżąca*)  
Nic, nic, ale zostaw mię!

KAROL.  
Katarzyno!

KASIA.  
Puść mię mówię ci! (*zakrywa sobie twarz i  
głosem przerywanym*) Ah nieszczęśliwa! (*wbie-  
ga do domu*)

## SCENA VII.

KAROL. (*sam*)

Ucieka odemnie... zgaduję... to pomieszenie,  
to wzruszenie... kocha mię! Tak, lęka się zdra-  
dzić, że nie będzie mogła ukryć co się w jej ser-  
cu dzieje!... Ah, zabłyśł promień szczęścia!...

## SCENA VIII.

MAURYCY. (*wchodząc z innej strony*) KAROL.

MAURYCY. (*smutno*)

Ponieważ chcesz tego koniecznie poruczni-  
ku... już zaprzężono!..

KAROL.  
Dla czego?

MAURYCY.  
Abyś mógł odjechać.



K A R O L.

Ja!... właśnie też o tem mowa... zostaje, zostaje mój przyjacielu! gdybyś wiedział co się wydarzyło, radość...

M A U R Y C Y.

Ale ta radość przestrasza...

K A R O L.

Znasz mię Maurycy, mówiłeś często, że mię kochasz...

MAURYCY. *(z żywością)* .

Jak brata!

K A R O L.

Jak brata... tak... tego potrzebuję,... jeżeli chcesz mię uczynić najszcześliwszym z ludzi, oddaj mi rękę twojej siostry...

MAURYCY. *(z radością)*

Mojej siostry!... Kasi!... oh z całego serca, mój dobry Karolu. *(ściskając go)*

K A R O L.

Przyjacielu!

MAURYCY. *(ocierając sobie tzy)*

Placzę z radości... ale powiedz mi, kochasz ja?

K A R O L.

Nad życie.

M A U R Y C Y.

A ona?

K A R O L.

Zdaje mi się...

*Tom III.*

MAURYCY.

Oh!... ta mała filutka... (*naśladowując*) »Oh, to to nie tak łatwo!» a ten z twarzą ponurą »muszę odjechać!» (*z żywością*) Niechże uściskam tę dobrą siostrę... (*wołając*) Kasiu! Ludwiko! oh to prędko pójdzie...

KAROL.

Otóż one... nie chcę wam przeszkadzać... będą tu... cicho!... (*kryje się w pawiljonie*)

## SCENA IX.

MAURYCY, LUDWIKA.

MAURYCY. (*wołając ciągle*)

Kasiu!

LUDWIKA. (*wbiegając*)

Czegóż to chcesz?

MAURYCY. (*dając jej przejść na lewo*)

Nie ciebie wołam... gdzie jest moja siostra?

LUDWIKA.

W swojej izbie... widziałam ją wchodzącą, zapłakana.

MAURYCY.

Biedna! pierwsza miłość... ale ją pocieszę wkrótce (*wołając*) Kasiu!

## SCENA X.

CIŻ I KASIA. (*blada, ocierając łzy*)

KASIA.

Czego chcesz mój bracie?

MAURYCY. (*wstrzymując się*)

Pójdźno tu moja dobra Kasiu! coż to, co ci jest?... zmartwienie... mamy oczy czerwone...

K A S I A.

Oh to nic.

M A U R Y C Y.

Tak, to chmurka mała, wkrótce sprowadzę pogodę. (*dając znak Karolowi, który się pokazuje nieco*) Powiedz mi Kasiu... Porucznik mówił mi właśnie...

K A S I A.

Porucznik...

M A U R Y C Y.

On powiada, że cię kocha...

K A S I A.

Wierzę temu.

M A U R Y C Y.

A ty?

K A S I A.

Ja?

LUDWIKA. (*żywo*)

Ona kocha go także... to pomieszanie... to drzenie... ja się znam na tém, taką zupełnie byłam przed dwoma laty.

KASIA. (*z boleścią*)

To prawda.

KAROL. (*n. s.*)

Co słyszę?

K S I A.

Kocham go... jestem pewna, że go całe życie kochać będę...

M A U R Y C Y.

Vivat!

KASIA. *(stale)*

Ale nigdy jego żoną nie zostanę.

KAROL. *(n. s.)*

O nieba!

L U D W I K A.

Co mówisz?

M A U R Y C Y.

A dla czegoż to?

K A S I A.

Ponieważ należę do innego, ma moje przyrzeczenie, przysięgę, i nie mogę rozrządzać moim losem bez jego zezwolenia.

MAURYCY. *(obawiając się, aby Karol nie usłyszał)*

Inny?... nie mówże tak głośno! prawda! ten biedak! to był uczciwy, godny chłopiec! byłbym najszczęśliwszy, gdybym go mógł uścisnąć w mojem objęciu, podzielić się z nim połową mojego majątku!... Ale trzeba być rozsądną Kasiu!... on już nie żyje!... po upływie dwóch lat...

K A S I A.

'To wszystko jedno, jestem jego narzeczoną.

M A U R Y C Y.

Narzeczoną!... narzeczoną!...

K A S I A.

Tak... jego narzeczoną!... przysięgam mu, oddając mój krzyżyk; a gdyby powrócił, gdyby ukazał się nagle biedny, nieszczęśliwy, — a mnie znalazł żoną innego, powiedziałby oddając mi zakład mojej wiary: »Ja ci zachowałem brata!... mnie winnaś szczęście, którego używasz. Dla ciebie wszystko zniósłem, i kiedy powracam z ostatnią nadzieją, tyś ją zawiodła — tyś złamała zaprzysiężoną wiarę!.. i za całą nagrodę, opuszczasz mię na zawsze!«... Oh bracie umarłabym ze wstydu!

M A U R Y C Y.

Ale on nie powróci.

L U D W I K A.

On nie może powrócić...

MAURYCY, LUDWIKA.

Siostró!

KASIA. *(stale)*

Nie, dotrzymam mojej przysięgi i chociażbym umrzeć miała... nie zapomnę go!

## SCENA XI.

CIŻ I KAROL. *(wchodząc szybko między nich)*

KAROL. *(z radością)*

Ah, tego się spodziewałem!

MAURYCY I LUDWIKA.

Karol!

K A S I A.

On był tu!

K A R O L.

Wszystko słyszałem!

K A S I A.

Jakto!

K A R O L.

Oh, nieobawiaj się... kochana.. przyjaciele, jestem przy zdrowych zmysłach... Kasiu, kochasz mnie, i gdyby nie przyrzeczenie, które cię wiąże do innego... byłabyś moją?

K A S I A.

Przysięgam!

KAROL. (z żywością)

A więc uspokójcie się... ja przyjąłem to przyrzeczenie!

W S Z Y S C Y.

Ty!

KAROL. (z zapalem)

Ja odebrałem twój krzyżyk, ja poszedłem w miejsce twojego brata.

MAURYCY I LUDWIKA.

Czy podobna!

KASIA. (z radością)

O Boże!

} razem.

K A R O L.

Obawiając się przeciwnego losu, który mnie

ścigał zawsze, ukryłem prawdę i drżałem, aby  
mnie nie poznano. Chciałem przez odwagę zasłu-  
żyć na twój szacunek! Później, zasmucony, że  
tylko wdzięczności winieciem był twoje przyrze-  
czenie, że to jest okropnem połączyć się z czło-  
wiekiem nieznanym... że może kochasz iune-  
go... przyszedłem wrócić ci dane słowo... uwol-  
nić cię... ale teraz, kiedy mię kochasz; jesteś mo-  
ją, i nic nas rozłączyć nie zdoła!

K A S I A.

Zaledwie myśli moje zebrać mogę.

M A U R Y C Y.

A więc to ty byłeś?...

K A S I A. (*wzruszona*)

Ah, ileżeś mi sprawił cierpienia... ale to nie  
(*podając mu rękę*) nie gniewam się na ciebie.  
(*z uśmiechem*) No mościpanie... oddaj mi krzy-  
żyk!

K A R O L. (*zmieszany*)

Twój krzyżyk?!

K A S I A.

Tak jest... ponieważ to mój zakład.

K A R O L.

Wielki Boże!

K A S I A.

Cóż znaczy to pomieszanie?—spodziewam się,  
żeś go nie zgubił...

K A R O L.

Oh nie!...

MAURYCY. (*cicho*)

Nie dałeś go innej czasem?

K A R O L.

Ten krzyżyk... nie mam go!...

K A S I A.

Nie masz go!

K A R O L.

Powierzyłem go w chwili... kiedy nie miałem nadziei... a teraz... nie wiem...

K A S I A.

Mój krzyżyk!... mościpanie, pokaż mi go...

K A R O L.

Niepodobna... ale jeżeli mię kochasz...

K A S I A. (*cofając rękę*)

Nie, widzę teraz jawnie... zwodzisz mię... to nie pan...

MAURYCY i LUDWIKA.

Jakto?

K A R O L. (*zdumiały*)

Mogłażbyś myśleć...

K A S I A.

To jest podstęp, wybieg ułożony z moim bratem.

M A U R Y C Y.

Ze mną?

K A S I A.

On wszystko opowiedział i...



MAURYCY.

Być może, żem mu coś napomknął... ale...

KASIA. (*rozgniewana*)

Aha! to niegodnie! to straszliwie... nadużywać tak mojej dobrej wiary, podchwytywać moją tkliwość, aby mię uczynić nieszczęśliwszą jeszcze!

KAROL.

Posłuchaj mię!

KASIA.

Nie mów pan do mnie... nie chcę go więcej widzieć, słuchać, nienawidzę cię! nigdy twoją nie będę!

KAROL. (*w rozpacz*)

To mój los, nie uniknę go! A więc dobrze, odjadę, oddalę się natychmiast, nigdy mię już widzieć nie będziesz. (*odchodzi szybko do pawiljonu.*)

## SCENA XII.

KASIA, MAURYCY, LUDWIKA.

MAURYCY. (*wściekły*)

A to djabeł wmieszał się w tę sprawę.

LUDWIKA.

Już wszystko tak dobrze się ułożyło...

MAURYCY. (*do Kasi, która płacząc siedzi na stolku*) Ale kobiety wtenczas się tylko cieszą, kiedy wszystko zakłóca!... Nie wiem co mię

wstrzymuje że z nim razem nie odjadę!... (*patrzy na nią*) Ah teraz płaczesz!

K A S I A.

Tak bo czuję że go kochać będę zawsze... ale to wszystko jedno... zaślubię innego.

L U D W I K A.

Piękna zemsta!

K A S I A.

Byłabym mu wszystko przebaczyła!... Ale działać ze mną podstępnie, zwodzić mię i zabierać miejsce nieszczęśliwego!...

M A U R Y C Y.

A z kąd że wiesz że to nie on?

K A S I A.

Dla czego nie ma mojego krzyżyka?

M A U R Y C Y.

Bah! w wojsku... te cacko... krzyżyk... serduška, to się łatwo gubi... i gdybyś tylko nie była upartą... to byś się przekonała że ten drugi guiewać się nie może— że on nie wróci...

## SCENA XIII.

CIŻ SAMI I HUBERT.

H U B E R T.

Panie Maurycy!

MAURYCY. (*z gniewem*)

Czego chcesz!

H U B E R T.

Jest tu ktoś, co pyta się o pannę Katarzynę.

K A S I A.

O mnie?

L U D W I K A.

Gdyby to był?...

H U B E R T.

Mówi: że tu był przed dwoma laty, że wszyscy go znają, i że ma coś oddać pannie Katarzynie!

K A S I A.

To on! A cóż, nie mówiłam, że powróci, byłam tego pewną...

M A U R Y C Y.

Niech wejdzie.

H U B E R T.

Proszę tędy.

K A S I A. (*odwracając się*)

Nie śmiem spojrzeć na niego.

(*Hubert odchodzi.*)

## SCENA XIV.

CIŻ I BERTRAND. (*z tornistrem, bronią, zakurzonej jak w marszu.*)

B E R T R A N D.

Witam szanowną rodzinę!... Panie... już od dawna nie miałem... raczcie przyjąć moje uszanowanie!

M A U R Y C Y. (*przypominając sobie*)

Przebacz pan! czekałeś.

M A U R Y C Y.

Tyżeś to... Bertrandzie!...

B E R T R A N D.

Ja sam, trochę starszy, trochę...

M A U R Y C Y.

Cóż tu porabiasz?

B E R T R A N D.

Stanęliśmy na dniówkę w pobliskim miasteczku, nie mogłem zapomnieć o moim poczytywanym Maurycym...

M A U R Y C Y.

Dziękuję ci... a twój kolega?...

B E R T R A N D.

Kolega? (*przypominając sobie*)

L U D W I K A.

Ten młody człowiek...

K A S I A.

Zastępca mojego brata...

B E R T R A N D.

Ah właśnie... dla tego tu przyszedłem... daj mi zlecenie.

W S Z Y S C Y.

On?

B E R T R A N D. (*uderzając się zlekka po głowie*)

Niech cię kule biją!... przygotowałem sobie małą przemowę, jakby wsunąć tę rzecz, ale zapomniałem na śmierć... mam tyle pamięci co królik! (*z westchnieniem*) Ten biedny chłopak!

W S Z Y S C Y,

Wielki Boże! cóż to?

B E R T R A N D.

Już skończył swój zawód!... Już oddawna zajął swoją ostatnią kwaterę.

M A U R Y C Y.

Umarł!

B E R T R A N D. (*ocierając łzę*)

Na moich rękach!

K A S I A. (*do swego brata, wskazując pawiljon*)

Teraz widzisz czy twój porucznik nas zwodził.

M A U R Y C Y. (*dając znak*)

Cicho! (*do Bertranda*) Byłeś więc przy nim?..

B E R T R A N D.

Zawsze. Panna mię prosiłaś, abym go nie odstępował, i Bóg mi świadkiem, byłbym go chętnie zastonił własnymi piersiami... ale nieszczęściem w jednej bitwie... okryty ranami, upadł na ziemię... Przybiegam... poznaje mię i rzecze do mnie: — »Z twoich rąk odebrałem ten złoty krzyżyk, powracam ci go... jeżeli mię przeżyjesz, oddasz go tej dobrej siostrze, powiesz żem zawsze o niej pamiętał; że dopiero śmierć mię z nim rozłącza! « i... i... oto jest! (*oddaje go*)

K A S I A. (*z płaczem biorąc go*)

Tak, ten sam!

B E R T R A N D.

Kolego, rzekłem mu, ostatnie uściskanie. . . ukląknę przy nim, ale już nie mógł wzniesć

Tom III.

12.

głowy... a usta jego jeszcze raz wymówiły imię Katarzyny!

K A S I A.

Ah!

M A U R Y C Y.

I to dla mnie!

L U D W I K A.

Biedny!

B E R T R A N D.

Chciałem się pomścić jego śmierci... (*ocierając tzy i wasy*) Ale nieszczęściem i ja także zostałem ranionym...jedenaście miesięcy leżałem... i teraz dopiero wracam...

K A S I A.

Cóż bracie?

M A U R Y C Y.

Czego chcesz?

K A T A R Z Y N A. (*patrzac na pawiljon*)

On umarł... a ten... śmiał wdzierać się w jego prawo... Co za niegodziwość!

B E R T R A N D.

Co mówisz gołąbku? Byłżeby kto tak nikczemny!...

L U D W I K A.

Tak jest, człowiek który utrzymuje, że był zastępcą Maurycego.

K A S I A.

Chciał mię pojąć za żonę.

B E R T R A N D. (*wściekły*)

Do kroć sto tysięcy bomb! zwodzić pozei-

wych ludzi, przybierać nazwisko kolegi, gdzie on jest?

MAURYCY. (*wskazując na pawiljon*)

Wtęj izbie...

BERTRAND. (*zinnno i kładąc rękę na pałasz*)

Ja mu powiem parę słów.

MAURYCY.

Nie, ja nie ścierpię.

KASIA.

Wielki Boże!

BERTRAND.

Musi być ukarany!

## SCENA XV.

GIZ I KAROL. (*wychodząc z pawiljonu ubrany do drogi*)

BERTRAND. (*dobywając pałasz*)

Do kroćset kartaczy, to panicz... (*wpatruje się*)  
Co widzę?

KAROL.

Bertrand!

BERTRAND.

To on! (*rzuca pałasz i pada w jego objęcie*)

WSZYSCY.

Sciskają się!

BERTRAND. (*pełen radości*)

Zyje, żyje, mój kochany Karol... Wielki Boże! ja oplakałem śmierć jego... ale jakimże sposobem?...

KAROL. (*uśmiechając się*)

Po trzech miesiącach wyleczony z rany, mogłem już służyć...

MAURYCY.

I był moim porucznikiem...

BERTRAND. (*z uszanowaniem*)

Ha! mój dowódco!... a ja mówiłem...

KAROL. (*do Kasi*)

Czy wierzysz mi teraz?...

KASIA. (*zawstydzona podając rękę Karolowi*) Przebacz!.. ale za tą cię dwa razy więcej kochać będę.

KAROL. (*całując jej rękę*)

Kasiu!

MAURYCY. (*przedrzeźniając*)

Mój krzyżyk, pokaż mi mój krzyżyk.

KASIA.

Byłam występna przez zbyt wierność!

— BERTRAND.

'To jest tym piękniejsza cnota, że bardzo rzadka na świecie. Niechże więc ten krzyżyk złoty będzie najdroższą pamiątką waszego przywiązania.

KASIA.

Zachowam go na wieki, jemu winnam moje szczęście.

K O N I E C.



**LUCJA**

• CZYLI

**P A M I A T K A**

**KOMEDJA**

WE DWÓCH AKTACH

ze śpiewkami

*z francuzkiego*

**P. Meleuille**

TŁUMACZONA.

Muzyka Józefa Damse.



GRANA PIERWSZY RAZ

**NA TEATRZE ROZMAITOSCI**

*dnia 14 Lutego 1835 roku.*

O S O B Y.

CLAVERHOUSE, Pulkownik wojsk angielskich	JP. <i>Giżewski.</i>
EVAN, góral szkocki	JP. <i>Jasiński.</i>
ŁUCJA, sierota	JPa. <i>Daszkiewicz.</i>
DOUGAL, dudziarz	JP. <i>Baraniecki.</i>
BRYGADJER	JP. <i>Oliwiński.</i>
Żołnierze. — Górale płci obojęd.	

(Rzecz dzieje się w Szkocji, niedaleko Glencoe.)

---

# Ł U C J A,

## A K T I.

*(Scena wystawia wnętrze chaty szkockiej. Drzwi z głębi wychodzą na drogę do góry Corry d'Hu i Loch Ave; po prawej mała izbetka, wejście do niej zaslonione nędzną oponą, kominiek, na którym pali się torf; w pierwszej kulisie po prawej okno, a pod niem łoże ustlane z liści, wiele utensyljów strzeleckich zawieszonych na ścianie, stół, kilka stolików, małe okno w głębi, nieco ku lewój od widzów.)*

### SCENA I.

GÓRALE SZKOCCY, KOBIETY I MEŹCZYJNI.

*(Mężczyzni uzbrojeni do polowania; kobiety mają koszyki z żywnością i butelki, które oddają strzelcom, żegnając się z niemi.)*

GÓRAL. *(słyszac głos rogu odzywającego się za podniesieniem zasłony.)*

Juz odgłos rogu wzywa nas na pola; idźmy więc, spieszmy przyjaciele.

### SCENA II.

CIŻ I DOUGAL. *(mając pod pachą kobzę.)*

DOUGAL. *(wesolo)*

Czyście już gotowi, ja będę kierował polowaniem.

G Ó R A L.

Ah to Dougal!

D O U G A L.

S P I E W N O I.

Tak to Dougal, patrzcie sami,

Wesoły, miły chłopczyzna,

Pić i tańczyć z dziewczętami,

To roskosz dla mnie jedyna.

Jam lekarzem, muzykusem,

Gdzie mię trzeba tam i ja,

Wszędzie biegam zwawym klusem.

Chce mię stary, to mię ma,

Chce mię babka, to mię ma.

\*

Leczę ciało, leczę duszę,

Przy mnie długo nikt nie płacze,

Dam pigułkę, łokciem ruszę,

I już pacjent zdrowy skacze.

Jam lekarzem, muzykusem,

Gdzie wesele tam i ja,

Wszędzie biegam zwawym klusem,

Chce mie chłopak, to mię ma.

Chce mię panna, to mię ma.

Więc idźmy!

G Ó R A L.

Lepiej zaczekajmy na najodważniejszego z myśliwych.

D O U G A L.

Na Evana! ale coś go nie widać, spóźnia się.

G Ó R A L.

Rzecz dziwna, on, który nigdy nie da czekać na siebie.

D O U G A L.

Zapewne jest w górach, biega w ślad za swoją obłąkaną Łucją.

G Ó R A L.

Obłąkaną Łucją?

D O U G A L.

Młode dziewczę, które wychował, bardzo ładna; a jednak, jeżeli mam prawdę powiedzieć: ja się jej boję.

G Ó R A L.

I dla czegoż to?

*(Wszyscy zbliżają się do Dougala)*

D O U G A L.

Dla czego... dla czego? powiem wam. Ja sam nie wiem dla czego, ale się boję. Pewnego dnia w czasie nawałnej burzy, przyprowadził ją do tej wioski. Nikt nie wiedział jak się nazywała. Biedna dziewczyna spadła do nas z deszczem zapewne, albo wiatr ją przywiął. Zkąd ona jest, czy ma choć jednego krewnego, także nikt

o tem nie wie, i tyle tylko wiemy o niej. Choć się jej obawiają, jednak każdemu podoba się łagodność i słodycz biednej sieroty.

### SCENA III.

CIŻ I EVAN. (*w ubiorze młodego górala*)

G Ó R A L.

Otóż Evan, jak posępny!

E V A N.

Czego chcecie? co was tu sprowadza?

G Ó R A L.

Czekamy cię na polowanie.

E V A N.

Na polowanie?

(*Odgłos rogów*)

D O U G A L.

Czy słyszysz? nasi towarzysze już polują.

E V A N.

Idźcie bezemnie.

D O U G A L.

Jakto!

E V A N.

Nie pójdę, później się z wami połączę.

G Ó R A L.

Ale...

DOUGAL. (*cicho*)

Nie nalegajcie na niego, musi mieć jakieś zmartwienie. Idźcie, idźcie, on pospieszy za wami.

G Ó R A L.

A więc, dalej wesoło. (*wszyscy odchodzą i żegnają się z kobietami, które oddalają się w przeciwną stronę.*)

## SCENA IV.

EVAN, DOUGAL.

(*Evan usiadł przy stole rozgniewany, Dougal odchodząc, spogląda na Evana, zatrzymuje się i uważa go bacznie.*)

DOUGAL. (*do siebie*)

Co jemu jest? (*zbliżając się*) Evanie, czyś ty chory?

EVAN. (*nie uważając Dougala*)

Gdzież jest Łucja?

DOUGAL.

Podług zwyczaju biega po górach. Czy chcesz żebym się dotknął twojego puls.

EVAN.

Nie.

DOUGAL.

Chcesz, żebym ci zaśpiewał.

EVAN.

Nie.

DOUGAL.

To jest mój ostatni sposób; czasem mam chorych, którzy chodzić nie mogą, szczególnie uważałem to w dziewczętach, tylko zagrań, hop, hop, jużci w płasach; to jest le-

karstwo gwałtowne, ale nigdy nie było bez skutku.

E V A N.

Jestem zdrów zupełnie.

D O U G A L.

Nieprawda! jesteś blady, cierpiący, a to mię zasmuca; mój najlepszy przyjaciel, tak dobry chłopiec, tak usłużny; oto i przeszłego tygodnia, czyliżeś nie ty obronił mię prawie od śmierci? Ten wysoki djabelski Mac-Gregor, którego leczyłem z reumatyzmu, i który dostał pedogry, powiedział, że to moja wina! Ci górale nie mają! najmniejszego wyobrażenia o sztuce lekarskiej. Tyś stanął w mojej obronie, i dałeś mu porządną naukę, niechże teraz wolno mi będzie leczyć cię gratis; a więc zobaczymy! Cóż ci jest? z kąd ta niespokojność?

E V A N. (*wzdychając*)

Ta biedna Łucja!...

D O U G A L.

Twoja obląkana, którą...

E V A N.

Już nie mam sposobu nadal dostarczać jej nieodbitych potrzeb.

D O U G A L.

Nie macie nic w domu?



E V A N.

Nigdy tu wiele nie było. Zostawszy sierotą w dwunastym roku, wcale się tem nie troszczyłem! Łowy zaspakajały moje potrzeby, byłem pewny, że znajdę mój objad, gdy strzelbę w rękę pochwycił; ale później, myśl sama, że utrzymanie życia innej osoby zależało od trafnego lub niezręcznego strzału, ta myśl uczyniła mnie lęklwym, trwożnym, i już nic zabić nie mogę.

D O U G A L.

To ona! ona ci przyniosła nieszczęście, oddal ją!

E V A N.

Opuścić ją! ja, który przysiągłem jej umiaramu ojcu, że będę jej wsparciem! biedny starzec! widzę go jeszcze; było to na drugi dzień po rzezi pod Glencoe, po tej nocy straszliwej, w której anglicy, korzystając z naszej ufności w amnestję Wilhelma, zamordowali trzydziestu ośmiu naszych przywódców, nawet w objęciach ich żon i dzieci.

D O U G A L,

Pamiętam to!

E V A N.

Byłem wtenczas w lasku Dalmalhy, i tylko co z krzaków strzeliłem do cietrzewia, gdy jak  
*Tom III.*

w krzewinie zwrócił moją uwagę, oglądam się, widzę człowieka bladego, zbroczonego we krwi, włókł się ku mnie; chciałem uciec...

D O U G A L.

Pojmuję; i jabym to był uczynił.

E V A N.

Ale jego głos był tak przejmujący!... »Czegoż się lękasz moje dziecko, rzekł do mnie, już umieram.« Biegnę do niego z pomocą: »Zapóźno; ale ratuj moją córkę, ostatnie moje bogactwo!« Pokazał mi dziecko sześciolatnie uspięne pod jego płaszczem. »Już nie ma rodziców, nie ma majątku, wszystko zginęło w Glencoe. Tę pieczętkę z wrytym herbem, którą ma na szyi, wydarłem nielitościwemu nieprzyjacielowi; jest to jedyne dobro, jedyna pamiątka, którą jej zostawiam; może kiedyś posłuży do poznania tego niegodnego, i do pomszczenia się nad nim. Tobie przekazuję tę powinność, a szczególnie powierzam ci to dziecko. Pomnij, że to jest święty obowiązek, błagam cię o to, blizki śmierci i Bóg słucha cię!« Wzruszony, cały drżący, sam jeszcze dziecko, porwałem to drugie dziecko w moje objęcia, przysiągłem ze łzami w oczach, że będę jej bratem, że jej poświęcę

moje życie; on uścisnął mi rękę i skonał. (*ocierając łzę*) Osądź teraz, czy mogę zapomnieć mojej przysięgi.

DOUGAL. (*nieco wzruszony*)

To co innego. Zresztą dopełniłeś jej jak uczciwy człowiek, wychowałeś tę biedną dziewczynę z całą starannością, nie umie ona ani czytać ani pisać... ale biega po górach jak łania; przeskakuje płoty, potoki, jak wiewiórka; wychowanie doskonałe, nie twoja wina, że jej głowa...

E V A N.

Tak, pomieszane wspomnienie jej nieszczęść... ale ona jest tak łagodną, nawet w tych krótkich chwilach swojej nieprzytomności! Jestem pewny że szczęście ją uleczyło, i chętnie oddałbym moją krew.. jej szczerę przywiązanie, jej ufność.. jej słabość nawet, wszystko podwoiło moje uczucia, moją miłość dla niej... Oh tak!... to jest miłość — ona się nie domyśla tego, na cóż mam jej to powiadać? Kocha mię jak brata, oto wszystko, a przytęm jakże jej zapewnić los niezawisły, przyszłość! (*z boleścią*) Aby wyjść z tego stanu nędzy, wszystkiemu doświadczał; próbowałem dwudziestu rzemiosł, w żadnym mi się

nie powiodło! wyczerpałem wszystkie moje sposoby... i teraz... (*opryskliwie*) a więc cóż mi radzisz?

D O U G A L.

Trudne położenie! ofiarowałbym ci chętnie połowę tego co posiadam, ale że ja nie mam nic, toby ci nie wiele pomogło... Do stu piorunów... dumny jak pan, a biedny jak żebrak, oto szlachcic szkocki.

E V A N.

Jeden mi tylko środek pozostaje; aby ją zasłonić przed ciosem potrzeby, zaciągnę się do pułków, które Anglicy formują w Szkocji.

D O U G A L.

Ty chcesz zostać angielskim żołnierzem!

E V A N.

Dla czegoż nie?

D O U G A L.

Pomiędzy czerwone suknie...

E V A N.

Są surowi! ale kiedy kto pełni wiernie swoją powinność, nie ma przyczyny obawiać się.

D O U G A L.

I opuścisz Łucję?

EVAN. (*wzruszony*)

To jest największa ofiara, jaką miłość moja dla niej ponieść może... ale przynajmniej za-

przedając siebie, dostarczę jej chleba i pierwszych potrzeb do życia, i do ostatniej chwili dotrzymam mojej przysięgi. (*chwytając strzelbę*) Tak, zostanę żołnierzem, i za powrotem z polowania... (*wstrzymując się*) Dougal, wyświadczyć mi tylko jedną przysługę.

D O U G A L.

Jaką?

E V A N.

Ty znasz dowódcę pułku, który się tworzy w Dumbarton?

D O U G A L.

Znam, przyjemny człowiek, młody... dałem mu receptę; nie, omyliłem się, serenadę na szkockich kobzach. Tak był zadowolony, że natychmiast kazał nam podziękować, i polecił, abysmy poszli pić za jego zdrowie nieco dalej. Zdaje się, że lubi muzykę.

E V A N.

A więc, prosz go o przyjęcie mnie do wojska.

D O U G A L.

Jakto, na prawdę?

E V A N.

A nadewszystko, nie mów nic Łucji! pozwól mi ją o tem uwiadomić. Biedna, sam nie wiem, czy będę miał odwagę. (*zmieniając myśl*) Nim się oddalę, chciałbym jej zapewnić opiekę,

wsparcie... i pomimo boleści, jaką mi to sprawa... pomimo cierpienia, chciałbym... (*patrzac na Dougala*) Dougal, ty, którego uważam jak brata, ty powinienbyś ją zaślubić.

D O U G A L.

Ja?... ożenić się z warjatką! bardzo dziękuję!

E V A N.

Więc nie jesteś moim przyjacielem.

D O U G A L.

I owszem, ale ty jesteś zbyt sprawiedliwym, czyniąc mię godnym...

E V A N.

Dosyć, nie mówmy już o tém; pamiętaj o mojem poleceniu, i żebyś za powrotem mógł już przywdziać mundur. (*wychodzi*)

## SCENA V.

DOUGAL. (*sam*)

Kazać mi ożenić się z dziewczyną, która zamiast posagu ma przekręcone w głowie... to za mało... (*z westchnieniem*) Jednakże, jeżeli tego nie dopełnię, utracę tego poczciwego chłopca, przyjaciela oddanego mi zupełnie, który siębił ze wszystkimi mojemi pacjentami, niezadowolonemi z moich lekarstw! Miał wiele pracy, teraz to wszystko na mój grzbiet spadnie. (*zmie-*

*niając ton*) Ale, ale pamiętajmy o moich wizytach! Gorączka mię czeka w Glenorghy, wesela w Kintor, koklusz w Dumbarton, potem widzieć się z pułkownikiem Claverhouse... (*patrząc w głąb*) Ah! niech mi Bóg przebaczy, to on! Cóż on porabia w naszych górach?

(*Claverhouse wchodzi w milczeniu, w uniformie wojskowym, okryty płaszczem szkockim.*)

## SCENA VI.

DOUGAL, CLAVERHOUSE.

CLAVERHOUSE. (*n. s.*)

Gdybym ją mógł znaleźć samą! (*postrzegając Dougala*) Znowu ten głupiec... (*głośno*) jak się masz mój dzielny Orfeuszu?

DOUGAL. (*ktaniając się*)

Zapomniał jak się nazywam, Wasza wielkość przebaczy, nazywam się Dougal, nawet Mac Dougal, z przyczyny starożytności mojego rodu. Ale cóż to mogło was skłonić do zwiedzenia naszych ubogich klanów?

CLAVERHOUSE.

Słyszałem zawsze chwalcących piękne widoki Corry d'Hu i rokoszną dolinę Loch-Awe... i dziś rano wyszedłem sam odziany płaszczem wa-

szym — bo gdyby twoi współrodacy postrzegli mój czerwony ubiór...pewno by który strzelił do mnie jak do lisa...

D O U G A L.

Biedni ludzie! to prawda, że są czasem roz-targnieni! (*wesoło*) No jakże się panu pułkowni-kowi podobał nasz kraj?

C L A V E R H O U S E

Cudowny!

D O U G A L.

Nieprawdaz? widoki przepyszne!

C L A V E R H O U S E. (*żywo*)

I kobiety zachwycające... jedna szczególnie, którą ledwie postrzegłem...

D O U G A L

Ba! ...

C L A V E R H O U S E.

Wracąłem z Glencoe, scieszką idącą nad brze-giem bystrego potoku.. obracałem się często po-glądając na zwaliska tej nieszczęśliwej wioski—kiedy krzyk, tuż przy mnie wydany, ostrzegł mnie o niebezpieczeństwie... spoglądam... jeden krok, a byłbym wpadł w jezioro.

D O U G A L.

I jeszcze w miejscu najgłębszem.

C L A V E R H O U S E.

Kiedy mała rączka chwytła moją, i silnie mię



popycha na przeciwny wzgórek. Wznoszę oczy, chcąc podziękować temu szczęśliwemu wybawcy... już był daleko odemnie—skacząc ze skały na skałę. Młoda, anielska dziewczica, włosy wiążące się w powietrzu!. postać nad ludzkiej istoty...

D O U G A L.

Ah to Łucja, czarownica!

C L A V E R H O U S E.

Czarownica?

D O U G A L.

Albo jeżeli wasza wielkość chcesz... warjotka!

C L A V E R H O U S E. (*z zająciem*)

Warjotka!

D O U G A L.

To jest, ona nie jest zupełnie warjatką—ale tak mały zakrój, nie pojmuje nawet najprostszych rzeczy. Kiedyś, pytała mię, dla czego my tak nie lubimy czerwonych mundurów?

C L A V E R H O U S E.

Co?

D O U G A L. (*zmieszany*)

Nie... chciałem mówić... to ona, przeciwnie (*n. s.*) jakżem głupi! (*głośno*) Ponieważ co się tego tycze, wiadomo jest powszechnie... prócz tego, to zależy od osób (*n. s.*) To było zřęcznie! (*głośno*) Naprzykład pana panie pułkownika,

pana wszyscy kochają... dowódca tak odważny, tak uprzejmy, to nawet zachęca przyjąć służbę w jego pułku.

CL A V E R H O U S E.

Czy tak?

D O U G A L.

To tak zaognia! są chwile, że ja nie mogę się przezwyciężyć... i dla tego proszę waszej wielkości przyjąć jednego z moich przyjaciół.

CL A V E R H O U S E. (z uśmiechem)

Ah! jednego z twoich przyjaciół? ja myślałem że ty sam...

D O U G A L.

! Oh i ja... tylko że on... a ja mu chcę dowieść, że przyjaciel dla przyjaciela powinien wszystko oddać... dzielny chłopak... dobrze zbudowany, tak jak ja.

CL A V E R H O U S E.

Przykro mi to... ale dziś w wieczór idziemy w marsz, a mój pułk już kompletny.

D O U G A L.

No proszę! trzeba jeszcze protekcji, aby się dać zabić, i to nawet nie jest dla wszystkich. Panie pułkowniku, znajdź pan dla niego jaki kącik. Nie mówię, żebyś go natychmiast zrobił jenerałem, ale tak za kilka miesięcy... jest to krewny tej twojej wybawczyni.

CLAVERTHOUSE.

Mojej pięknej obłąkanej?

DOUGAL.

To ją zobowiąże.

CLAVERTHOUSE. (*n. s.*)

[ uwolni mię... (*głośno, pisząc w pugilaresie*)

To co innego, 'przyjmuję go! nie wracam do Dumbarton, ale niech zanieś te kilka słów do majora.

DOUGAL.

Aha! piękny zaciąg? stosowny do jego zasługi i wzrostu?

CLAVERTHOUSE. (*wydziera kartkę i oddaje mu*)

Masz i odejdz!

DOUGAL.

Dziękuję waszej wielkości; szkoda, że pułk już jest w komplecie, bo mógłbym i ja...

CLAVERTHOUSE.

A więc, póki tu jeszcze jestem, chcesz?...

DOUGAL.

Nie, nie, na co pan pułkownik ma psuć komplet; a potem tego roku będzie dużo fluxji, ja cały należę do moich współrodaków! Sługa waszej wielkości! (*odchodzi.*)

## SCENA VII.

CLAUVERHOUSE. (*sam*)

Przecież się od niego uwolniłem! Gdybym mógł znaleźć tę ładną istotę. Oblakana, to musi być zabawne!... powiadają, że tu mieszka, istotnie potrzebuję rozrywki... widok zwalisk Glen-coe, tych niemych świadków okrucieństwa mojego ojca, który stał się panem tej ziemi, przywiodłszy do nędzy nieszczęśliwych jej dzieci-ców, odebrawszy życie ich ojcu, obudził we mnie bolesne uczucia. Dopełniając ostatniej jego woli, chciałem wynaleść kogobądź z tej nieszczęśliwej rodziny, aby mu powrócić majątek tak niesłusznie wydarty! ale wspomnienie ledwo po niej zostało, znikli wszyscy, i ja nie będę mógł dopełnić najmiłszego sercu mojemu życzenia. Lecz oddalmy te posępne! myśli, zajmijmy się tylko Łucją, tą zachwycającą, czarowną Łucją! (*z uśmiechem*) Mówią, że to jest duch... czarownica! mniejsza, chociażbym miał zostać oczarowany, czekam jej śmiało.

## ŚPIEW NR 2.

O dziewczę, Szkocji ozdobo,  
Wróć tu, błagam cię wróć,

Ty serce kryjesz załobą,  
Tęsknoty chwile skróć.  
Tyś ocaliła życie,  
Tobą dusza tchnie,  
Jak gwiazda na błękiecie,  
Oczom ukaż się.  
Niech w wdzięczności daninie,  
Złożę uczuć kwiat,  
Póki krew w żyłach płynie,  
W tobie cały świat.

*(odchodzi w głąb)* Co widzę? to ona zbiega  
z góry; żeby jej nie przestraszyć, ukryjmy się  
*(oddala się w głąb i odziewa płaszczem.)*

## SCENA VIII.

CLAVERHOUSE, ŁUCJA.

*(Łucja ukazuje się w głębi, zbiera kwiaty  
z pola, ozdabia niemi głowę.)*

SPIEW NR 3.

Ah pójdźcie dziewczęta młode,  
Zbierać tam na górach ziola,  
One wam wrócą swobodę,  
I smutek ustąpi z czoła.  
Mówią: że ja obłąkana,  
Nie wiercie proszę,

Stracić rozum, słodka zmiana

To są roskosze!

Każdy ze mnie przykład ma,

La, la, la...

Smutek uleci jak mgła.

La, la, la...

(ze smutkiem)

Wesołą będziesz jak ja.

La, la, la. (ociera łzy.)

\*

Tam w krzewinie wiatr szeleści,

To ojciec mój, wy nie wiecie,

Wstał z grobu, z córką się pieści,

Błogosławi biedne dziecię.

Mówią: że ja obłąkana,

Nie wierzcie proszę,

Stracić rozum, słodka zmiana,

To są roskosze...

Każdy ze mnie przykład ma.

La, la, la...

Smutek uleci jak mgła.

La, la, la...

(ze smutkiem.)

Wesołą będziesz jak ja.

La, la, la... (ociera łzy.)

CLAVERHOUSE. (n. s.)

Jak roztkliwiający wyraz twarzy!

ŁUCJA. (rzucając kwiaty)

Ten brzydki Evan! całą górę obiegrałam i nie spotkałam go—to bardzo nie pięknie z jego strony... (spozstrzega Claverhouse, który siedzi na boku okryty płaszczem) To on (idąc na palcach jak dziecko, które chce podejść drugie) Cicho! nie mówmy nic. (staje pomalu za nim, podnosi się na palcach, i zakrywa mu oczy rękami) Aha! mam cię mój panie!

CLAVERHOUSE. (n. s.)

Wybornie!

ŁUCJA. (n. s.)

Bardzo ładnie! uciekać odemnie! chronić się! (tonem wyrzutu) Hm! fe!... żeby cię nauczyć jak się to karze! (całuje go w czoło, a potem patrzy) To nie on! (zawstydzona) Ah, przebacz mi pan!

CLAVERHOUSE. (poważnie)

Nic złego moje dziecię.

ŁUCJA. (zdziwiona)

Nie mogę pojąć. Czego chcesz? kto jesteś? nie znam cię.

CLAVERHOUSE.

Piękne dziecię, nie chciałem oddalić się, nie

podziękowawszy ci za wyświadczoną mi przysługę.

Ł U C J A.

Jaką przysługę?

CLAVERHOUSE. *(zbliżając się)*

Tyś mi ocaliła życie!

ŁUCJA. *(przypominając sobie)*

Ja... być może — nie przypominam sobie.

CLAVERHOUSE. *(biorąc ją za rękę)*

I czuję, że ono teraz daleko droższem się dla mnie stało, kiedy je tobie winienem. Jak to! nie przypominasz sobie? przed chwilą, przy Glencoe...

Ł U C J A.

Glencoe! pocóżes tam chodził? ja tylko mam prawo rozmawiać z temi, którzy tam spoczywają; chciałeś jeszcze ich udręczać... wyrządzać im krzywdę... ha...

CLAVERHOUSE. *(widząc że jej rozum miesza się)*

Nie, nie, moje dziecię; wiesz, że szedłem wzdłuż jeziora, kiedyś mię zatrzymała.

ŁUCJA. *(uśmiechając się)*

Ah tak!... myślałam, że to był on!

C L A V E R H O U S E.

On! *(z uśmiechem)* Zgaduję, kochanek, albo mąż...



ŁUCJA. (*nierozumiejąc*)

Kochanek... mąż! co to jest?

CLAVERHOUSE.

Jako! ty nie wiesz?

ŁUCJA. (*z uśmiechem*)

Ah mój Boże! ja nic nie wiem.

CLAVERHOUSE.

W twoim wieku! biedna mała! O czémże myślała ludzkie, wpośród których życie przepędzasz?

ŁUCJA. (*wznosząc ramiona*)

Oni mię nigdy nic nie uczyli.

CLAVERHOUSE.

Nierozsądni! gdybym ja był na ich miejscu; szczęściem jeszcze jest czas — i jeżeli pozwolisz ja cię nauczę co tylko będziesz chciała.

ŁUCJA. (*zbliżając się do niego z radością dziecinną*)

Oh, z całego serca.

CLAVERHOUSE\* (*n. s.*)

Bardzo dobrze! (*głośno*) Kochanek, albo raczej mąż... (*n. s.*) Trzeba zawsze mówić o drugim, aby ominąć pierwszego. (*głośno*) Mąż, jest to, co może być w świecie najprzyjemniejszego, jest to ktoś, który jest zawsze tu, przy tobie, aby cię bronić, kochać, który bezustannie śledzi najmniejsze twoje życzenia, oddałby życie,

aby ci oszczędzić najłżejszych cierpień, i który w zamian pragnie tkliwego spojrzenia, uściskać twoją rękę, ponieść ją do ust! (*całuje jej rękę*)

ŁUCJA. (*naiwnie*)

Ah to bardzo ładna rzecz, mąż!... mąż!...

CLAVERHOUSE.

Prawda? ale także trzeba go kochać cokolwiek.

ŁUCJA.

To najmniejsza.

CLAVERHOUSE.

Nic mu nie odmawiać.

ŁUCJA.

To się samo z siebie rozumie.

CLAVERHOUSE.

I kiedy się przybliża...

(*słysząc w oddaleniu odgłos trąb*)

ŁUCJA.

Co to jest?

CLAVERHOUSE. (*n. s.*)

Przeгляд przed wymarszem, do kata! (*chce odejść*)

ŁUCJA.

Już mię opuszczasz?

CLAVERHOUSE.

Z rozpaczą, ale pułk, którym dowodzę... czekają na rozkazy...

ŁUCJA. (*ze smutkiem*)

Jaka szkoda!

CLAVERHOUSE. (*patrzac na nią*)

Tém bardziej, że miałem ci jeszcze wiele rzeczy powiedzieć.

ŁUCJA. (*żywo*)

A więc któż ci broni wrócić?

CL A V E R H O U S E.

W istocie prawdę mówi... jutro połączę się z pułkiem... (*głośno*) Słuchaj moje dziecię, dziś wieczorem wrócę tu, czy będziemy tu wiesz- rzać razem we dwoje?

Ł U C J A.

Dla czegóż nie?

CLAVERHOUSE. (*całując ją w rękę*)

Przesliczna! już ułożone!— do wieczora.

Ł U C J A.

Nie zapomnij.

CLAVERHOUSE. (*zachwycony*)

Oh nigdy! (*n. s.*) Na honor! teraz ja rozum straciłem! (*odchodzi*)

## SCENA IX.

ŁUCJA. (*sama*)

Jaki dobry człowiek! nie żartuje sobie ze mnie jak inni! dziwna rzecz, że dotychczas nikt mi o tém nie mówił... może też... a ja nie pamiętam... oh nie! o tém byłabym pamiętała. (*rozważając*)

Mąż! nigdy cię nie odstępuję! któryby biegał razem ze mną po górach, toby było daleko weselój. Tak nudno biegać zawsze samój, to zapewne mię smuci! i dla tego tak często 'placzę. (*wesolo*) Jużem sobie ułożyła — chcę męża, ale miłego, dobrego. (*z radością*) Ah wiem kogo... i właśnie to on, poznaję chód jego... tak, to on...  
(*drzwi się otwierają, Evan wchodzi*)

## SCENA X.

ŁUCJA, EVAN.

EVAN. (*nie widząc Łucji, stawia strzelbę na stronę*)

Nie strzeliłem nawet ani razu. Wracając napotkałem Dougala, widziałem Majora, (*z westchnieniem*) już się skończyło — wychodzimy o drugiej w nocy. Najtrudniej teraz uwiadomić o tém biedną Łucję! (*spozstrzega ją*) To ona!

ŁUCJA. (*biegnie do niego i ściska*)

Jak się masz mój bracie... (*ocierając mu czoło*)  
Jak tobie gorąco!

E V A N.

Ah, przekłete polowanie — byłem tak nieszczęśliwym!

Ł U C J A.

I cóż to znaczy? dla czegóż się smucić? na dzisiaj mamy jeszcze co jeść.

EVAN. (*z westchnieniem*)

Tak na dziś... a na jutro? a na później?

ŁUCJA.

Oh jutro! tak daleko, nie myślę o tem,

EVAN.

Ja myślałem za ciebie moja dobra Łucjo.  
(*dobytając worek z pieniędzmi*) Oto dwieście  
dolarów, które oddam pastorowi z Glenorghyl!

ŁUCJA. (*zdziwiona*)

Dolary? na co? co to jest?

EVAN. (*łagodnie*)

Nie potrzebujesz o tem wiedzieć, abyś tylko  
była szczęśliwą; co miesiąc będziesz jeszcze dzie-  
sięć odbierała — a gdybym nie powrócił...

ŁUCJA. (*przełęta*)

Gdybyś nie powrócił! Co ty mówisz! gdzie  
idziesz?

EVAN.

Idę z pułkiem angielskim.

ŁUCJA. (*wzruszona*)

Ty?

EVAN. (*z usiłowaniem*)

Podpisałem — jestem żołnierzem.

ŁUCJA. (*prawie z płaczem*)

Żołnierzem! na cóż to? co to jest? ja nie chcę,  
rozumiesz? ja nie chcę!

E V A N.

Dziecię jesteś.

LUCJA. (*uśmiechając się wśród tkania*)

Ah! to tylko żeby mię przestraszyć, nieprawdaż? widzę w twoich oczach, i jeżeli mię kochasz..

EVAN. (*biorąc jej ręce*)

Lucjo, dla ciebie, dla twojego szczęścia! Ponieważ kocham cię nad życie — nie wahałem się... A więc przygotuj mi moją torbę... Za kilka godzin będę daleko od ciebie.

ŚPIEW NR 4.

Ł U C J A.

Chcesz mię porzucić? łaskawe nieba!

'Tyś dla mnie ojcem, całą rodziną...

E V A N.

Prośby daremne, ulecz potrzeba.

Ł U C J A.

Patrzaj Evanie, łzy moje płyną.

E V A N.

Łucjo, tam nie ma wyboru,

Gdzie przemawia głos honoru.

ŁUCJA.

EVAN.

Ściskam tve kolana,

Nie opuszczaj mię,

Tego obłąkana

Nie przeżyje, nie.

Powstań ukochana,

I nie błagaj mię,

Przysięga już dana,

Nie złamię jej, nie.

E V A N.

Ucisz troski, niepokoje,  
Wrócę do chatki i drzew.

I już się radością poję,  
Widząc cię, słysząc twój śpiew.

Ł U C J A.

Już ci Łucja nie zaśpiewa,  
Prośbą dziś się jeszcze wzrusz,  
Zobaczysz chatkę i drzewa,  
Ale mnie nie ujrzysz już.

E V A N.

Co mówisz?

Ł U C J A.

Tak, umrę.

E V A N.

Droga siostró.

Ł U C J A.

A dla czegoż chcesz się oddalić?

E V A N.

Przysięgłem.

Ł U C J A.

I cóż ztąd, ta przysięga...

E V A N.

Dotrzymam jej.

ŁUCJA. (*rzuca mu się do nóg, całując go*)

A gdyby cię Łucja prosiła?...

EVAN. (*odepchnąwszy ją, sucho*)

Przysięgłem i dotrzymam.

(*Chwila milczenia, Łucja wstaje, ociera łzę.*)

*Evan to spostrzega, bierze ją za rękę, i zmyślając wesołość.)*

Teraz pożegnam się z sąsiadami, a za powrotem oboje siądziemy przy stole...

ŁUCJA.

Jakto, oboje?

E V A N.

Sam na sam, ali to będzie rokosz dla mnie, ona zapowiada nam słodką przyszłość.

ŁUCJA.

Ale nie dla mnie.

EVAN. *(wskazując na stół.)*

Owoce, mleko...

ŁUCJA. *(zamyślona)*

Oboje ostatni raz!

E V A N.

Za twoją pomyślność!

ŁUCJA. *(żywo.)*

Za twój powrót!

E V A N.

Daj Boże! *(wychodzi, ściskając Lucję)*

## SCENA XI.

ŁUCJA. *(sama, po chwili milczenia, patrząc za Evanem.)*

Opuścić mię wtenczas, kiedy układałem sobie tak piękne rzeczy! Oh, przeszkodzę temu,



choćbym się rzucić miała w głębinę Loch-Awe, zabić się w jego oczach! przymuszę go zostać ze mną. (*śmiejąc się nagle z uczuciem małego obłąkania.*) Ah, ah, ha, ha — to dobra myśl, jakżem dziwna smucić się, kiedy to tak łatwo, oh niezawodnie! (*zmieniając ton*) Ale gdyby się to nie udało! gdyby trwał!... Otóż gdybym go była wcześniej za męża wzięła, nie miałby nigdy tej myśli opuścić mię, ponieważ oni zawsze są tu, przy nas, a teraz jak uczynić, jak go skłonić, zatrzymać? (*niosąc rękę do czoła, jak gdyby cierpiała.*) Ah moja głowa, moja biedna głowa!

## SCENA XII.

ŁUCJA, DOUGAL.

DOUGAL. (*za sceną*)

Do Greenburn? dwie kobzy, dobrze, będę tam.

ŁUCJA. (*biegnąc do niego*)

Ah! Dougal!

DOUGAL. (*chcąc się oddalić*)

Nie mam czasu moja mała; chciałem zobaczyć — już go nie ma — więc...

ŁUCJA. (*przyprawdzając go*)

Chcę z tobą pomówić.

Tom III.

15

DOUGAL.

Nie mam czasu powiadam; odra i wesele razem wpadły mi pod rękę, wziąłem moją przenośną anteczkę.

ŁUCJA.

Na wesele?

DOUGAL.

Eh! nie; państwo młodzi mają się jak najlepiej. Ten ogromnie wysoki Tawisch-Moor, ze ni się z rudą Jeannie, dwie kolumny z katedry.

ŁUCJA. (*n. s.*)

A więc się wszyscy żenią?

DOUGAL. (*nie słuchając*)

Ale, ale, Evan widział się z majorem? Czy już ułożyli się? Czy wychodzi z niemi?

ŁUCJA.

Tak niestety!! (*patrzac na niego*) Czy to ty mu doradziłeś? (*grożąc*) Gdybym wiedziała!...

DOUGAL. (*cofając się*)

Nie, nie, przeciwnie... zdaje mi się, że będzie miała attak, odchodzę.

ŁUCJA.

Zostań... i odpowiedz mi...

DOUGAL.

Ale...

ŁUCJA.

Zostań, ja tak chcę!

DOUGAL. (*n. s.*)

Oj to kryzys, nie trzeba ją rozdrażniać.

ŁUCJA. (*po chwili*)

Dla czego ja nie mam męża?

DOUGAL. (*zdumiały*)

Dla czego? rzecz szczególna... to pytanie!...

(*n. s.*) Czy ta mała nie pomyśli czasem żebym ja...

Ł U C J A.

One wszystkie mają mężów...

DOUGAL. (*w kłopotcie*)

Tak... mniej więcej, bo pojmujesz, że trzeba być w położeniu... ale ty Łucjo, szczerze mówiąc, nie łatwo napotkasz...

Ł U C J A.

Dla czego? Ktoś niedawno powiedział mi, że znajdę tylu, ilu będę chciała...

DOUGAL, (*uśmiechając się*)

Do kata! to ma się znaczyć — ja nie mówię żeby — ale męża, tak, na koniec co nazywamy mężem, istotnym, tych nie znajdziesz na tuziny.

ŁUCJA. (*tonem decydującym*)

Ja też chcę tylko jednego.

DOUGAL. (*potrząsając głową*)

Oh!... chcesz!

ŁUCJA. (*z gniewem*)

Mówię ci, że chcę jednego... lub jeżeli nie...

DOUGAL. (*przestraszony*)

A więc dobrze, dobrze, będziesz miała jednego, dwóch nawet. (*n. s.*) Trzeba potakiwać jej szaleństwu. (*do Łucji*) Wyszukam ci między mojami choremi.

Ł U C J A .

Nie wcale.

D O U G A L .

Ah! więc masz kogós na oku?

ŁUCJA. (*zbliżając się do niego poufale*)

Tak!

DOUGAL. (*n. s.*)

Jak na mnie patrzy! (*jakby uderzony myślą*)  
Ah już wiem co to jest. Ten głupiec Evan zapewnie jej wspomniał o swoim zamiarze. Jeżeli ona będzie chciała gwałtem mię zaślubić.

ŁUCJA. (*tkliwie*)

Mój dobry Dougal, proszę cię tylko... oh będę cię bardzo kochała.

DOUGAL. (*n. s.*)

Otóż mamy!

Ł U C J A .

Proszę cię tylko, powiedz mi co mam czynić, aby go nakłonić, aby mu się przypodobać?

D O U G A L.

Oj strach na mnie! (*głośno*)! Trzeba być grzeczną, miłą...

ŁUCJA. (*naiwnie*)

Alboż ja nie jestem?

D O U G A L.

Ah! (*patrzy na nią*) Rzecz dziwna!. nigdy się nie przypatrywał, ona przynajmniej nie brzydka. K edy mówię nie brzydka, to się ma znaczyć wcale piękna — twarz, uśmiech, i w oczach wyraz...

ŁUCJA. (*przymilając się*)

Mów dalej, dobry Dougal.

D O U G A L.

I głosik!...

ŁUCJA. (*biorąc go za rękę*)

Proszę cię!

D O U G A L.

I rączka śliczniuchna — ale jaka rączka (*n. s.*)  
'Toby była usługa przyjacielska; jej obłokanie nie jest tak straszne z bliska jak z daleka — a potem, jestem lekarzem, uleczę ją, albo nie uleczę.

Ł U C J A.

I cóż?

D O U G A L.

Jakiem ci powiedział, trzeba być przyjemną, uprzedzającą.

Ł U C J A.

Uprzedzającą?

D O U G A L.

Zajmować się nim troskliwie, przygotować mu polewkę... z dobrym kielichem usquebaugh, rosą z gór, to przedziwne.

Ł U C J A.

Tak, tak.

D O U G A L.

Potem ustroić się, wypięknąć. Twoje włosy są zawsze w nieładzie; nakoniec ukazać mu się piękniejszą, zatrzymać go, żeby dla ciebie godzin zapominał.

Ł U C J A.

Żeby godzin zapominał. (*n. s.*) Ah coza myśl.

D O U G A L.

Cóż to jest?

Ł U C J A.

To dobrze, dobrze, idź precz!

D O U G A L.

Pięknie korzysta — już mię oddala (*odchodzi swolna*)

Ł U C J A. *n. s.*)

Ale jaki sposób? jak to uczynić? (*głośno*)  
Ah Dougal jeszcze słowo.

D O U G A L.

Co?

Ł U C J A.

A stara Meg?

DOUGAL. (*trąc sobie czoło*)  
Masz tobie, nie myślałem o niej.

Ł U C J A.  
Byłam u niej — ma się lepiej.

DOUGAL.  
Stara Meg? to być może; wistocie trzy dni  
u niej nie byłem; powinna mieć się lepiej.

Ł U C J A.  
Zali się tylko, że nie ma snu.

DOUGAL.  
Co ja mam uczynić?

Ł U C J A.  
Trzeba jej coś dać takiego, żeby ją usypiało.

DOUGAL. (*zadziwiony*)  
Słusznie! masz wielkie zdolności do sztuki  
lekarskiej! jeszcze jedna korzyść... (*szukając  
w swojej apteczce.*) zaniosę jej.

Ł U C J A.  
Nie ma potrzeby, toby ci może było na  
przeszkodzie, ja wrócę do niej.

DOUGAL.  
Prawda, moja odra jest z przeciwnej strony  
(*dając jej małą flaszeczkę*) Masz, wyborne le-  
karstwo, i tak silne!... dwie krople tylko do jej  
ziołek, jak wypije pół szklanki usnie natych-  
miast, i będzie spała do rana jak najsmaczniej.

Ł U C J A.  
Ale ten sen czy będzie mocny?

DOUGAL.

Mogą strzelać z armat obok niej, ona tego nie usłyszy.

ŁUCJA.

To dobrze!

DOUGAL. (*pieszcząc się z nią*)

Adjeu, adjeu, moja mała, powrócę tu, bo... sądzę... zdaje mi się... nie wiem co czynię (*przed-ko*) Idę odwiedzić moich pacjentów. (*wychodzi*)

### SCENA XIII.

ŁUCJA. (*sama*)

Wybornie! (*przyciskając flaszeczkę do piersi*)  
On nie pójdzie, i będzie moim mężem. Ali zobaczą, czy ja nie mam zmysłów. Już noc, zapalmy lampę. (*zapala lampę w kominku*) Pamiętam co mi powiedział, najprzód wieszera, stół, dwa stołki (*wszystko to przyrządza bie-gając*) Kawalek sarny... dzbanek, ale z bukietem rozmarynu, ten najładziej lubi, piękny chleb jęczmienny, tak! (*przyglądając się nakryciu*) a potem trzeba pomyśleć o wypięknieniu, aby mu się przypodobać. Dougal prawdę powiedział, to bardzo ważne! moje włosy w nieładzie, ale bo ja nie wiem jak, zobaczymy jednakże (*bie-gnie do małego zwierciadła, które jest nad*



kominem, i wstrzymuje się w chwili kiedy chciała rozwiązać swoje włosy) Ah mój Boże! już nie czas.

## SCENA XIV.

ŁUCJA, (na boku) EVAN.

EVAN. (do siebie)

Juzem się pożegnał... o drugiej godzinie pod sztandarem, albo jeżeli nie, po trzech wezwaniach, skazany będę bez odwołania; szczęściem niedaleko ztąd do Dumbarton... mam czas (obracając się do Łucji) I cóż Łucjo? kolacja!

ŁUCJA.

Już gotowa.

EVAN.

Nadewszystko proszę cię, bez płaczu, bez smutku.

ŁUCJA. (wesoło)

Oh nie, nie jestem dziecko! widzisz, nie płaczę.

EVAN. (do siebie)

Szczęśliwsza ode mnie! już zapomniała o swoim cierpieniu.

ŁUCJA. (do siebie)

Smutny, dobry znak.

EVAN.

I powiedzieć, że ostatnie chwilę z nią prze-

pędzam, że może już jej nie zobaczę! (*mimo-  
chętnie bierze ją w swoje objęcia i spogląda  
na nią z czułością*)

ŁUCJA. (*uśmiechając się*)

Czy ty mię kochasz dzisiaj?

EVAN. (*z miłością*)

Ah zawsze, zawsze! im więcej cię widzę, tém  
więcej czuję, że życie moje jest spojone z two-  
jém! i żałuję prawie...

ŁUCJA. (*żywo*)

Czego?

EVAN. (*z westchnieniem*)

Oh nic! nic! już zapóźno.

ŁUCJA. (*tkliwie*)

Zawsze chcesz się oddalić?

E V A N.

Nie mogę inaczej uczynić, i gdybyś wiedzia-  
ła... ale ty nie możesz zrozumieć tego, a więc...  
(*idzie do swojego stolka.*)

ŁUCJA. (*n. s.*)

Otóż wstyd fałszywy! bo przyrzekł, swoim ko-  
legom (*grozi mu palcem*). Hm!...

EVAN. (*obracając się do niej*)

No, pójdź do stołu!

ŁUCJA. (*wesoło*)

Jestem. (*siadają przy sobie.*)

E V A N.

Téj radosnej biesiady nie zasmucajmy przy-  
krém pożegnaniem.

Ł U C J A.

A twoja wierna siostra zaśpiewa ci nową pio-  
snezkę. Słuchaj:

SPIEW NRO 5.

I cóż cię zniewala,

Tu jest nasz raj

Ewanie mój,

Tu miły gaj

Tu domek twój

Szczęścia nie szukaj zdala.

Oto je masz

Przy sobie tuż.

To szczęście znasz

Nie szukaj już...

Zostań się, la, la...

Jakaż cię chęć zapala,

(*pieszcząc się z nim*)

I jakiż cel

Wieść błędny krok

I w dzień i w zmrok,

Tu pokój dziel  
Tu ze mną wraz,  
Szczęścia nie szukaj zdala  
Oto je masz  
Przy sobie tuż.  
To szczęście znasz  
Nie szukaj już,  
Zostań się, la, la...

E V A N.

Dziękuję ci moja Łucjo.

ŁUCJA. (*z westchnieniem*)  
To tylko otrzymać zdołałam.

E V A N. (*wstając*)

Trzeba iść.

Ł U C J A.

Oh jeszcze nie, błagam cię.

E V A N.

Nic mię nie wstrzyma, już późno.

Ł U C J A.

Kwadrans, drogi.

E V A N.

To wszystko jedno!

ŁUCJA. (*żywo*)

Jeszcze chwilę (*n. s.*) *otwierając flaszeczkę*  
ponieważ nie ma innej nadziei... (*głośno*) Patrz,  
Niebo się wyjaśnia!

E V A N. (*patrzac w okno*)

Przeciwnie, zachmurza się.

ŁUCJA. (*nalewając*)

Ale księżyc świeci.

E V A N.

Oh nie! posępne obłoki go kryją. Idźmy!

ŁUCJA. (*nalewając mu pić*)

Ale jako dobry Szkot, nim udasz się w drogę, wypijesz za naszą pomyślność?

E V A N. (*pijąc*)

Slusznie!

ŁUCJA. (*nalewa jeszcze*)

Za twój szczęśliwy powrót.

E V A N. (*pijąc*)

I za moich przyjaciół (*po chwili*) Ale cóż to jest, jakież uczucie mię ogarnia. (*chcąc iść*) Żegnam cię!

ŁUCJA. (*jeszcze mu nalewa*)

A teraz za zdrowie twojej siostry.

E V A N. (*uśmiechając się*)

Ale...

ŁUCJA. (*pieszcząc się*)

Teraz moja kolej.

E V A N. (*pijąc*)

Jak ona jest piękną! (*po chwili*) Rzecz dziwna! (*niosąc rękę do głowy*) Ledwo widzę.

L U C J A.

To nie, daj mi rękę.

Tom III.

16

E V A N.

Pomimowolnie sen mię obarcza.

ŁUCJA: (*wskazując na łóżę*)

Spocznij.

E V A N.

Nie chcę.

Ł U C J A.

Zapewne utrudzenie, czegoż się obawiasz? ja cię ostrzegę, kiedy będziesz miał iść w drogę.

EVAN. (*pozwalając prowadzić się do łóżka*)

Ale czy pewno?

Ł U C J A.

Ja ci powiem.

EVAN. (*głosem słabym*)

A więc... jak głowa moja cięży, oczy się zamykają, nie mogę się oprzec! (*zasypia*)

Ł U C J A.

Spi... dzięki Bogu, więc nie pójdzie, zostanie ze mną. (*Evan mówi »Łucjo!«*)

(*słychać zdala zegar bijący drugą godzinę*)

Druga godzina! budzi się... oh nie! nie, marzy... i we śnie wymówił moje imię. Spij, spij drogi Evanie, jak matka czuвам nad tobą! (*słychać w orkiestrze marsz w oddaleniu; kobzy zdają się odpowiadać z różnych odległości, wskazując, że wojsko się zbiera i sposobi do drogi, Lucja wstaje, i idzie słuchać w głąb.*)

Ale ten znak! o radości... oddałą się a on pomimowoli zostanie, ah oddecham!

GŁOSY ZA SCENĄ.

Evan! Evan!

ŁUCJA. (*drżąca*)

O nieba! co słyszę!

GŁOSY BLIŻEJ.

Evan, pójdź z nami!

Ł U C J A.

Szukają go, oh mój aniele opiekuńczy, nie opuszczaj mię! (*porywa pled szkocki, i okrywa nim Evana, w chwili, kiedy drzwi się otwierają.*)

## SCENA XV.

CIŻ I GÓRALE. *w ubiorach nowo-zacieżnych żołnierzy, marsz ustaje.*)

KILKA GŁOSÓW.

Ewanie! już czas.

ŁUCJA. (*zasmucona*)

Co za wrzask, on już daleko, bądźcie cicho.

JEDEN Z GÓRALI.

Jakto!

Ł U C J A.

Juz jest w Dumbarton, dla tego bądźcie cicho. (*wskazując na łóżko*) Moja ciotka bardzo chora.

G Ó R A L E.

A więc idźmy!

ŁUCJA. (*złośliwie*)

Pozdrówcie go odemnie. (*sama*) Ah co za radość, śpi. (*słychać marsz oddalający się do końca aktu.*) Teraz jestem spokojna! (*zamyka drzwi, wraca do Evana, unosi cokolwiek pled, aby mógł wolniej oddychać. Marsz za ledwie słyszeć się daje. — Zastona spada.*)

---



## AKT II.

(Dekoracja taż sama.)

(Za podniesieniem zasłony, Łucja stoi w tej-  
że saméj postawie jak w końcu pierwszego aktu,  
patrzy na Evana i zdaje się oczekiwać jego  
przebudzenia; przy niéj widać wieniec z bla-  
watków.)

### SCENA I.

ŁUCJA, EVAN. (*śpiący*)

Ł U C J A.

Jeszcze śpi, już oddawna nie słychać żołnie-  
rzy, już są daleko... (*ubiera wieniec*)

SPIEW NRO 6.

Wy lube kwiaty

Uwieńczone czoło,

Daleka straty

Śpiewam wesoło.

Oh ty kwiecista korono,

Pomnóż wdzięk i powab mój,

Przed gniewem bądź mi zasłoną

Niech rozbroi go ten strój.

Za chwilę w kaplicy

U ołtarza stóp,

Twój oblubienicy

Dziś usłyszysz ślub.

Wy lube kwiaty. (*j. w.*)

16\*

Wkrótce cała wieś zbierze się; starzy i młodzi, przyjaciele, znajomi, popychają się, cisną i kiedy ja stoję... słyszę jak wieśniacy mówią do siebie, wyciągając szyję: »a gdzie jest pan-na młoda? to ta! Eh! ta mała?... tak... ale... »ona ładna. Szczęśliwy pan młody!« (*patrzac na Evana*) I on ich słyszy, spogląda na mnie z uśmiechem, a ja biorąc jego rękę, mówię mu: dla ciebie tylko chcę być piękną, dla ciebie aż do ostatnich dni mojego życia, serce oddychać będzie wiarą i miłością. (*biegnie do zwierciadła*) Ah w istocie tak mi lepiej, a on chciał mię opuścić, złośnik. Nie, mój panie, nie, nie z tego nie będzie i on się nie rozgniewa! ja to dostrzegłam po jego spojrzeniu, tak tkliwym, i smutnym. (*zbliżając się do niego*) Chciałabym żeby mię już zobaczył (*patrzac na niego*) Dougal prawdę mówił, to strasznie usypia. (*ze strachem*) Boże, gdyby on umarł, ta bladość, to otrętwienie!... (*nachylając się do niego*) Evanie, Evanie! przebudź się, błagam!... jedno tylko słowo, zaklinam cię! (*zatrzymując się z radością*) Nie, nie, jego serce bije!... oddycha! ah owarjuję z radości...

## SCENA II.

CIŻ, DOUGAL.

DOUGAL. (*za sceną pukając do okna w głębi*)

Łucjo! Łucjo!

ŁUCJA. (*drżąc opuszczając*)

Co słyszę! (*głośno, drżącym głosem*) Kto tam?

DOUGAL. (*za sceną*)

To ja Dougal! (*otwiera okno*)

ŁUCJA. (*nieukontentowana*)

Czego chcesz tak późno? jak można tak kogo przestraszyć!

DOUGAL. (*za sceną*)

Ale bo ja tyle nabiegałem się do chorych, a chciałem pożegnać Evana — podobno spóźniłem się.

Ł U C J A.

Już oddawna poszedł.

D O U G A L.

To dobrze! bo to nie żarty, biedny chłopiec; ponieważ poszedł, szczęśliwej drogi! Chciałem ci także powiedzieć... ale otwórz mi, okropnie zimno! zziąbnęłam cała!

Ł U C J A.

Otworzyć ci... w nocy, ah to by było pięknie!

D O U G A L.

Ale bo widzisz mam z tobą pomówić.

Ę U C J A.

I cóż mi masz powiedzieć?

D O U G A L.

Ja myślałem, o tem coś mi niedawno mówiła... i zdaje mi się, że ci znalazłem męża.

Ę U C J A.

Doprawdy, i ja także.

D O U G A L.

Przyprowadzam ci go,

Ę U C J A.

Oh już więcej nie chcę -- zatrzymuję tego co mam.

D O U G A L.

Bah! kogóż to?

Ę U C J A.

Kogoś, co jest tu blisko mnie.

DOUGAL. (*n. s.*)

Co za dziewczyna... jak delikatnie oświadcza mi, że to ja — ma rozum, ten mały szatanek.

Ę U C J A.

Któs, który jutro będzie moim mężem.

DOUGAL. (*uradowany*)

Doprawdy?

Ę U C J A.

Już ułożyłam sobie.

D O U G A L.

A więc dobrze, bardzo dobrze, czekaj... kiedy szczęście się objawia, byłby człowiek głupcem...

ŁUCJA.

Idzie tylko o świadków, o muzykę.

DOUGAL.

Ja się tem zajmę.

ŁUCJA.

Byłżebyś tak dobrym?

DOUGAL.

Przestańże, kiedy ty jesteś tak dobrą i wyznajesz mi... Ah oszaleję z radości — biegnę zaprosić całą wieś.

ŁUCJA. (*widząc poruszenie Evana*)

Tak, tak, biegnij prędko.

DOUGAL.

Na jutro.

ŁUCJA.

Na jutro?

DOUGAL.

Rano?

ŁUCJA.

Ze wschodem słońca.

DOUGAL.

Koniec. Nie będziesz tego żałowała, i niech nigdy S. Dunstan nie przysze mi żadnego pacjenta, jeżeli....

ŁUCJA. (*z niecierpliwością*)

Ale idźże już! (*zamyka okno*)

DOUGAL.

Dobrze... jutro ci podziękuję. (*odchodzi*)

### SCENA III.

ŁUCJA, EVAN.

ŁUCJA.

Już był czas! sądę że się budzi! tak. Jak się zadziwi, jak będzie szczęśliwy!

EVAN. (*przebudzając się*)

Ah! ah, cóż ja piłem? czuję całą głowę... zawiele spałem (*wstając*) Dalej spieszmy się ja to nagrodzę. Łucjo daj mi mój pled i strzelbę.

ŁUCJA. (*skacząc około niego i uderzając wręce*)

Zwycięztwo! zwycięztwo! nie pójdiesz... dóbrzem powiedziała.

EVAN.

Jakto? Czy znowu rozpoczynasz twoje dzieciństwa?

ŁUCJA. (*j. w.*)

Oh! jak się nie boję — już nie możesz się oddalić, czas już minął...

EVAN. (*zrywając się*)

Co mówisz, ten sen...

ŁUCJA.

To był podstęp!

EVAN.

Moi towarzysze...

ŁUCJA.

Już daleko.

E V A N.

Niepodobna!

ŁUCJA. (*wstrzymując go za rękę, w chwili kiedy zegar we wsi uderza piątą godzinę*)

Czy słyszysz zegar we wsi?

EVAN. (*z rozpaczą*)

Piąta godzina! piąta godzina! już poszli... (*chce biec, zatrzymuje się*) Niepodobna, mój wyrok już wydany, zniesławiony, zgubiony!

Ł U C J A.

Mój bracie!

EVAN. (*odchodząc od siebie, odpycha ją*)

Nieszczęśliwa! cóżeś uczyniła?

ŁUCJA. (*przełękła*)

Cóż ci jest?

E V A N.

Zostaw mię.

Ł U C J A.

Ale jakaż moja zbrodnia? odpowiedz mi.

E V A N.

Tys jest przyczyną mojej zguby.

Ł U C J A.

Wielki Boże! przez litość!

E V A N.

Zostaw mię! Hańba i nędza, oto mój los.

Ł U C J A.

Ewanie, błagam cię, powiedz, powiedz.

(*Evan chce mówić, słychać w oddaleniu od-*

*głos trąby oznajmujący proklamacją; przełękły wskazuje Łucji okno w głębi, mówiąc z boleścią.)*

E V A N.

Śłuchaj, dowiesz się.

*(Łucja nie wie co ma czynić, spogląda na Evana niespokojnie i nakoniec zbliża się w milczeniu do okna i podsluchiwa; zdaje się powtarzać to co słyszy.)*

LUCJA. *(powtarzając, po chwili milczenia)*

»W imieniu Wilhelma Króla Anglji! podaje  
»się do wiadomości szeryfów i wiernych pod-  
»danych, następny wyrok rady wojennej. Za  
»opuszczenie swojego sztandaru i zdradę wyko-  
»nanęj przysięgi, Evan skazany jest dziś!« *(za-  
myka prędko okno, wydając krzyk) Ah! (upa-  
da na ziemię.)*

E V A N.

O nieba!

ŁUCJA. *(z wolna przychodząc do siebie, po-  
wstaje na kolana i zdaleka wyciąga błagalnie  
ręce) Nie, nie, ja się omyliłam, to nieprawda  
to nie ty. Nie... milczysz... (z rozpaczą) Ah zgi-  
nęłam! (przyciąga się do niego klęcząc, pory-  
wa jego rękę, oblewa łzami i mówi głosem prze-  
rywany) Przebacz! ulituj się nad mojem o-*



bląkaniem, jedyny panie mojego losu, dla ciebie byłabym oddała życie, a ja cię na śmierć prowadzę.

EVAN. (*roztkliwiony, patrząc na nią z uczuciem*)

Pociesz się kochana siostró, muszę uleść przeznaczeniu, przebaczam ci śmierć moją. Żegnaj cię, żegnaj na wieki!

Ł U C J A.

Co! jabym miała utracić ciebie, jedynego przyjaciela mojej młodości, ciebie, moją rodzinę! (*z mocą*) Nie, nie, ta okropna ofiara nie spełni się, sprawiedliwość nieba poprowadzi nasze kroki.

E V A N.

Cóż chcesz uczynić?

Ł U C J A.

Ocalić dni twoje. (*porrywając jego rękę*) Pójdź za mną, ja cię poprowadzę w niedostępne nasze góry, tam cię nie znajdą, — wszystko zwycięży moja odwaga, Bóg wesprze moje słabe siły, będę twoją niewolnicą, twojem wsparciem i twoim zbawcą. (*wskazując mu na drzwi*) Pójdź, niech ciemne lasy i milczenie ukryją cię na wieki.

E V A N.

Nie, próżna nadzieja, moja powinność każe się oddać w ich ręce.

Ł U C J A.

Każę ci iść na śmierć?...

E V A N.

Gdybyś ty przysięgła Łucjo życie twoje poświęcić? — słyszę tylko głos honoru.

Ł U C J A.

Oh nie mów tak — nie pytaj mię. *(z zapalem)*  
Nic cię nie wydrze z mojego objęcia — *(u nóg jego)* Evanie, nie odmawiaj mi, jeżeli chcesz aby Łucja jeszcze żyła. Jeżeli jeden krok postąpisz, szukaj potem Łucji w głębi jeziora. Evanie — mój Evanie! *(milczenie... Evan spogląda na nią wzruszony, zdaje się zezwalać, ona zarzuca mu pled na ramiona, bierze go za rękę)* Boże czuwaj nad nami! *(chcą wyjść, ktoś puka do drzwi, zatrzymują się w osłupieniu)* Nieba!

GLAVERHOUSE. *(za sceną)*

Otwórz! to ja... pułkownik!

E V A N.

Pułkownik! sprawiedliwy Boże! już po mnie!

LUCJA. *(wskazując izbę po prawej)*

Tam, tam, ukryj się *(wciąga Evana do bocznych drzwi, potem otwiera drzwi w głębi)*

## SCENA IV.

CLAVERHOUSE, ŁUCJA.

CLAVERHOUSE. (*wchodząc*)

Otóż ona, pewno mię się już niespodziewałaś?

ŁUCJA. (*zmiészana*)

Nie, nie przypominam sobie nawet...

CLAVERHOUSE. (*zrzucając płaszcz*)

Miałem tyle do czynienia... objechałem ze trzy mile aby wymierzyć karę na nieposłusznych; nie obawiaj się, nie było niebezpieczeństwa, ale nakoniec jestem. Dwudziestu ludzi mam ze sobą — zostawiłem ich u stóp góry, jutro złączymy się wszyscy z pułkiem, który dziś o milę najdalej spocznie.

ŁUCJA. (*n. s. patrząc na izbę boczną*)

Zaledwie utrzymać się mogę.

C L A V E R H O U S E.

A potem, gdybym potrzebował ich pomocy, za daniem umówionego znaku, wszyscyby tu stanęli. (*patrząc na Łucję*) Ah jak ona jest piękną!

ŁUCJA. (*n. s.*)

Cóż zamyśla?

CLAVERHOUSE. (*patrząc na ubranie głowy*)

Ten staranny strój głowy, dla mnie, to prze-

dziwnie! (*spoglądając na stół*) I dwa nakrycia, jeszcze na mnie czekała. (*głośno*) A więc moje dziecię, przybliź się do mnie. Niech mi Bóg przebaczy, możnaby powiedzieć że drżysz!

ŁUCJA. (*n. s.*)

Jak na mnie patrzy...

CLAVERHOUSE.

Wierny przyrzeczeniu przybywam do ciebie.

ŁUCJA. (*n. s.*)

Trwogo straszliwa!

CLAVERHOUSE.

Uspokój się moja piękna! nie uciekaj odemnie!

ŁUCJA.

Jego mowa podwaja moją obawę.

CLAVERHOUSE.

Odpowiedzże...

ŁUCJA. (*przełękła*)

Mów pan ciszej!

CLAVERHOUSE. (*chcąc ją przytrzymać*)

Pójdź do mnie...

ŁUCJA. (*uciekając*)

Nie przybliżaj się pan.

CLAVERHOUSE.

To zawstyżenie, ten wzrok czarowny, przejmuję duszę miłością i szczęściem! Te przygotowania, i tajemnicze przyjęcie są pomyślną wróżbą.-- Łucjo!

ŁUCJA. (*odpychając go*)

O Nieba! oddał się!

CLAVERTHOUSE.

Dla czegoż?... ządże obawa?

ŁUCJA.

Gdyby kto... Boże!

CLAVERTHOUSE. (*z uśmiechem*)

Twój Ewan już daleko ząd, i nie śmiałby ukazać się przedemną.

ŁUCJA. (*drząc, spogląda na izbę boczną*)

Boże!

CLAVERTHOUSE.

Łucjo nadobna! daj mi twoją ładną rączkę.

ŁUCJA. (*podając mu rękę*)

Tu idzie o jego życie, — umieram z przestraczu.

CLAVERTHOUSE.

Ah, cóż wyrówna mojej radości, teraz jedno pocałowanie.

ŁUCJA.

Co za śmiałość!

CLAVERTHOUSE.

Przez litość!

ŁUCJA.

Ah panie, błagam cię, odbierz mi raczej życie. (*gdy Claverhouse chce ją pocałować, szamocząc się, odwiązał pieczętkę, którą miała zawieszoną na szyi, i obejrzał ją*)

CLAVERHOUSE. (*n. s.*)

Wielki Boże! pieczętka z herbem mojego ojca — nie śmiem wierzyć — nieszczęśliwa rodzina, miałżeby i syn jeszcze pomnożyć zbrodnię ojca! (*biegnie do Łucji w największym pomieszaniu.*)

ŁUCJA. (*ucieka, myśląc, że ją goni*)

Nieba!! ratujcie mię!

## SCENA V.

ŁUCJA, CLAVERHOUSE, EVAN.

EVAN. (*wybiegł z ukrycia, porwał strzelbę, rzuca się między nich i zmierzwszy do Claverhouse*)

Wstrzymaj się!

ŁUCJA, CLAVERHOUSE.

Ah!

EVAN. (*do Łucji*)

Nie lękaj się. (*chwila milczenia — wszyscy niewzruszeni*) Takież to jest postępowanie prawego żołnierza. Twoje życie jest w moich rękach; gdybym słuchał mojej wściekłości, padłbyś nieżywy u nóg moich; ale Szkot dumny ze swojego rodu, walczy tylko, ale nie morduje. I żeby być pewniejszym, iż nie ulegnie... (*wystrzela nabój za okno i odrzuca strzelbę na stronę.*)

CL A V E R H O U S E.

Co czynisz?

E V A N.

Teraz broń nasza jest jednakową, oddal się, ponieś daleko z tych miejsc niewinności twoją nieszczęsną mowę, daruję ci życie przez uszanowanie dla praw gościnności! (*słychać za sceną odgłos, powiększający się aż do wejścia żołnierzy.*)

ŁUCJA. (*sluchając*)

Cóż to za głosy?

CL A V E R H O U S E.

To są moi żołnierze, ten strzał przywodzi ich tutaj. Uciekaj.

E V A N.

Nie opuszczę cię, choćbym miał zginąć.

ŁUCJA.

Evanie!

## SCENA VI.

ŁUCJA, CLAVERHOUSE, EVAN, BRYGADJER,  
ŻOŁNIERZE.

B R Y G A D J E R.

Jesteśmy panie pułkowniku.

CLAVERHOUSE. (*chcąc ich oddalić*)

To pomyłka!

BRYGADJER. (*postrzegając Evana*)

Co widzę! tak, to Evan! to on! ten nikczemny zbieg!

CL A V E R H O U S E .

Nieszczęśliwy!

B R Y G A D J E R ,

Skazany wyrokiem sądu wojennego; pochwycie go żołnierze!

Ł U C J A .

Na Boga!

CL A V E R H O U S E . (*żywo*)

Wstrzymajcie się... czego chcecie?

B R Y G A D J E R .

Dopelnić wyroku sądu; skazany jest jako zbieg.

CL A V E R H O U S E .

Jako zbieg? on! mylicie się, on mnie nie odstąpił ani na chwilę, wziąłem go ze sobą za przewodnika w tych górach, (*poglądając na Łucję*) jego nawet obecność uchroniła mnie przed wielkiem niebezpieczeństwem.

B R Y G A D J E R .

Jakto, ten wystrzał?...

CL A V E R H O U S E .

Mnie był przeznaczony, on mnie ocalił od niego. (*ściskając rękę Evana*) Nigdy ci tego nie zapomnę.

E V A N .

Co słyszę!

Ł U C J A . (*całując w rękę Claverhouse*)

Ah panie!...



CLAVERTHOUSE. (*wstrzymując ich*)

Milczenie! (*biorąc ich oboje na stronę*) Zbłądziłem, wyznaję, ale człowiek szlachetnie myślący, nie wstydy się wyznać swoje błędy i naprawić je. (*do Łucji*) Jedno słowo, od kogo masz tę pieczęć?

Ł U C J A.

Od mojego ojca.

E V A N.

Który w Glencoe, podczas...

C L A V E R H O U S E.

Wiem, to on.

E V A N.

Znałeś go? przez litość powiedz mi pan, wymień jego nazwisko, przysiągłem pomścić się..

C L A V E R H O U S E.

Już nie żyje, ale jego syn nie chciał nigdy zatrzymać dóbr niesprawiedliwie wydartych, i od dziś Łucjo, obszerne włości Glencoe są twoją własnością.

Ł U C J A.

Moją?

E V A N.

Glencoe?

C L A V E R H O U S E.

Mozesz je przyjąć, one są twoje, pewny tego jestem. (*patrząc na Łucję z uśmiechem*) I aby wszyscy byli szczęśliwi, łączę do tego uwolnienie Evana... twojego męża.

E V A N.

Czy podobna! o mój wspaniały zbawco!

Ł U C J A.

Ah jakże ci zdołamy zawdzięczyć!

C L A V E R H O U S E.

Proszę cię tylko o jedną łaskę, ta pieczętka jest jedyném wspomnieniem, które pragnę umieścić z tych stron (*do siebie*) dla mojej spokojności i pamiątki mojego ojca! (*ściska im obojgu ręce, słychać Dougala.*)

E V A N.

To Dougal z naszymi przyjaciółmi.

Ł U C J A.

Dotrzymał słowa.

## SCENA VII I OSTATNIA.

CIŻ, DOUGAL, GÓRALE, MEŹCZYZNI I KOBIETY.

D O U G A L.

Przybywajcie moi koledzy, przybywajcie, obchodźmy uroczyście wesele.

E V A N. (*biegnąc do niego*)

Dougal, niebo cię zsyla!

D O U G A L. (*zdumiały*)

Co widzę! co to jest? to ty!

Ł U C J A. (*do Dougala*)

On zostaje!

G Ó R A L E.

Zostaje!

EVAN. (*ściskając Dougala*)

Ah co za radość! wiedziałeś więc, że zaślubiam Łucję!

DOUGAL. (*belkocząc*)

- Ty... nie, tak — to jest — w istocie przypuszczałem. (*n. s.*) Ah co za męczarnia!

E V A N.

Łucjo!

Ł U C J A.

Evanie! koniec naszych cierpień.

DOUGAL. (*n. s.*)

A ja myślałem, że on już maszeruje! (*cicho do pułkownika*) Niechże wasza wielkość sam osądzi co za nieszczęście, on mi zabiera moje miejsce.

C L A V E R H O U S E.

Więc zabierz ty jego miejsce, pójdź z nami, przyjmuję cię.

DOUGAL. (*cofając się*)

Uniżenie dziękuję!

ŚRIEW. NRO 7.

Ł U C J A.

Nadeszła błoga chwila,

Niepokój serca znika,

Nieszczęście się przesila,

Radość ustą zamyka.

Szczęśliwa taką odmianą,  
Szcześliwszą będę przecei,  
Gdy sierotę obłąkaną,  
Łaskawie przyjąć zechcecie.

W S Z Y S C Y.

Szczęśliwi taką odmianą,  
Szcześliwsi będziem przecei,  
Gdy sierotę obłąkaną,  
Łaskawie przyjąć zechcecie.

K O N I E C.

**SKUTKI  
ODDALENIA  
KOMEDJO-OPERA**

W JEDNYM AKCIE

ORYGINALNIE NAPISANA.

Muzyka Edwarda Wolffa.



GRANA PIERWSZY RAZ

NA DAWNYM

**TEATRZE ROZMAITOSCI**

*dnia 27 Kwietnia 1832 r.*

## O S O B Y.

MÜLLENDORF, kupiec	JP. <i>Szymanowski.</i>
FERDYNAND, syn jego	JP. <i>Jasiński.</i>
LIESHEIM, dzierżawca z Alp	JP. <i>Śmiałkowski.</i>
HENRJETTA, jego córka	JPa. <i>Rostkowska.</i>
FRITZ, jej brat	JP. <i>Panczykowski.</i>

(*Teatr wyobraża górzystą Alp okolicę; z lewej aktorów porządnym domek Liesheima, z przeciwnej strony ławka w głębi.*)

---

# SKUTKI ODDALENIA.

---

## SCENA I.

LIESHEIM. (*sam wchodząc z listem wręku*)

Kochany Müllendorf, a więc po piętnastu latach niewidzenia znów go oglądać będę. (*czyta*) »Kochany przyjacielu! List mój zaledwie pół godziną poprzedzi moje przybycie, byłbym cię nie uwiadomił o moim przyjeździe, gdyby mną sprawa naszych dzieci nie powodowała. Wiesz dokładnie, że zamiary nasze, że podstęp nawet któregośmy użyli nie zdołały nakłonić mojego syna do połączenia się z twoją Henrjetą. Ferdynand nie wie dotychczas o tem, że Henrjeta jest córką twoją, uprzedź ją więc, może jej to poda myśl, któraby nasze najgorętsze życzenia do skutku przywiodła. Co jeżeli się stanie, najszczęśliwszym ujrzysz twojego przyjaciela. Mul-

lendorf» — Kochany człowiek, a kto wie, może jego domysły i prawdziwe, może Henrjetta kocha Ferdynanda, wiem ja co to jest miasto, wiem jak często szczerłość przestaje w niem być szczerością. Unas wieśniaków, nie lubiemy taic prawdy, co w myśli to i w mowie, nigdy kłamstwo ani podłość ust naszych nie plami. (*wołając*) Henrjetto! Fritzku!

## SCENA II.

LIESHEIM, HENRJETTA, FRITZ.

HENRJETTA I FRITZ.

Jesteśmy, jesteśmy ojcze!- cóż rozkażesz?

L I E S H E I M.

Kochane dzieci, dzisiejszy dzień jest nroczy-  
stym dla mnie, uściskam mojego starego przy-  
jaciela, wkrótce przybędzie mój poczuiwy Müllendorff wraz z synem swoim. Fritzku, uprzątnij wszystko w tej izbetce, której okna wychodzą na ulubiony mój parów.

F R I T Z.

Dla mnie tam nie bardzo ulubiony, małom w nim karku nie skręcił. (*odchodząc*) znowu robota.. bez końca...

L I E S H E I M.

Tak, tak Henrjetto, poznasz Müllendorfa, o



którym ci już tyle razy mówiłem; gdyś była w mieście, on był w drodze, wiem, że już niecierpliwie wyglądasz jego przybycia.

H E N R J E T T A.

To prawda, ale pan Müllendorf, mówiłeś mój ojcze, nie sam przyjedzie?

L I E S H E I M.

Ze swoim synem Ferdynandem.

H E N R J E T T A.

Ferdynandem?

L I E S H E I M.

Tak mi się zdaje, że podobno Ferdynand się nazywa; ale czy Karol czy Ferdynand, to mi wszystko jedno, - bo czuję, że go już kocham, i ty także moja córko kochać go musisz.

H E N R J E T T A. (*przełęczniona*)

Jakto mój ojcze, czy to dla tego on tu przybywa?

L I E S H E I M.

Otóż macie... tak zawsze, ~~o~~ miłości ani słuchać nie chce, szczególniejsza dziewczyna, inne ledwie nie wyskoczą za mężem, a ta i nie i nie; oj bieda z temi córkami. (*Henrjetta całuje ojca w rękę*) No, już nic nie mówię, nie. Müllendorf przejeżdża tylko tędy w interesie handlowym, przenocuje u mnie, a jutro uda się w drogę.

HENRJETTA. (*n. s.*)

Oddycham.

LIESHEIM. (*figlarnie*)

Jednakże, gdyby Ferdynand... ma być przy-  
stojny chłopiec, do rzeczy...

H E N R J E T T A.

Nie znasz go mój ojczy?

L I E S H E I M.

Nie, wcale, wszakże wiesz, że od czasu ja-  
kem wyszedł z wojska, nie opuszczałem mojej  
zagrody. Widziałem go w Wiedniu, ale małem  
jeszcze dzieckiem. Jednakże ojciec jego pisze,  
że ma szczęście do kobiet, nie tai przecież i te-  
go, że żadna stałe zająć go nie zdołała; tydzień,  
dwa, i znów do innej, trzpiot cały. I Müllen-  
dorfowi nie bardzo to przyjemnie, chciałby wi-  
dzieć przyszłość jego ustaloną.

H E N R J E T T A.

Mnie się zdaje, że przy takim sposobie my-  
ślenia pana Ferdynanda, to nigdy nastąpić nie  
może.

L I E S H E I M.

Dla, czego? oh bo zbyt surowo rzeczy bierzesz;  
dla czego ma siedzieć jak mnich w kapturze,  
niech też pozna motylek młodość swoją, niech  
uczaje jej rokosze, potem będzie statkował.

SPIEW NRO 1.

Niech młodzież bywa wesola,  
Dobra, ochocza i żywa;  
Tak do tanów hucznych koła,  
Jak do pracy nie leniwa.

\*

Lecz teraz, jak mi się zdaje,  
Świat jest do góry nogami,  
Młodzież szaleństw zaprzestaje,  
I starcy szaleją sami.

Młody w kącie siedzi cicho,  
Panna zimna jakby z lodu,  
A stary, niezdatne lichu  
Kocha, ale bez dowodu.

**SCENA III.**

LIESHEIM, HENRJETTA, FRITZ.

F R I T Z.

Jestem mój ojciec... ha, nakrzętałem się też dobrze, ale też wszystko tak piękne, że... piękniejsze jak było nowe.

L I E S H E I M.

Dobrze, dobrze mój Frytzu, czystość, porządek jest duszą wszystkiego.

F R I T Z.

To widać, że moja dusza bardzo sobie porządna.

(*Głos za kulissami zdaleka*)

Tędy, tędy, panowie, tu w tym domku na lewo mieszka dzierżawca Liesheim.

L I E S H E I M.

Ah to oni, oni zapewne, Fritz, biegnij naprzeciw nim, prędko.

F R I T Z.

Biegnę, lecę (*wybiegłszy, za kulissami*) pójdź, pójdź tu, pójdziemy razem, to będzie prędej.

H E N R J E T T A. (*idzie w głąb teatru i patrzy*)

Spostrzegam dwóch panów, już zsiadają, jeden już w wieku...

L I E S H E I M.

To Müllendorf.

- H E N R J E T T A.

A drugi... (*przełknięta*) Wielki Boże, to Ferdynand! (*wraca na scenę*)

L I E S H E I M.

A tak, Ferdynand... cóż ci się stało, przecie mówiłem ci, że przyjedzie wraz z ojcem.

H E N R J E T T A.

Więc to jest syn...

L I E S H E I M.

A tak syn... ale Henrjetto, cóż ci to jest, także zmieszana, uspokój się.

H E N R J E T T A.

Ah, moj Ojczy, pozwól mi oddalić się na chwilę, później widzieć się będę z panem Müllendorfem.

LIESHEIM. (*surowo*)

Nie, nie, co to za grymasy, ani mi kroku ztą d!

HENRJETTA. (*ocierając łzy*)

Dobrze mój ojciec.

LIESHEIM. (*wzruszony*)

No, no, idź, zostaw nas, nie chcę aby mój przyjaciel po piętnastoletniem niewidzeniu się zemną, kwaśne twarze widział... idź, idź. (*Henrjetta całuje ojca i wybiega*) Ha, ha, rozumiem... no chwala Bogu. Müllendorfa domysły sprawdzać się zaczynają! tylko mię to niebardzo cieszy, że dziewczyna przed Ferdynandem ucieka i płacze, bo nim się wróci do niego i zaśmieję, do tego długiego czasu potrzeba.

## SCENA IV.

MÜLLENDORF, FERDYNAND, LIESHEIM, FRITZ.

M Ü L L E N D O R F.

Ah Liesheimie!

L I E S H E I M.

Przyjacielu! (*uścisk wzajemny i kilkakrotny*)

M Ü L L E N D O R F.

Teraz tak jestem szczęśliwy, że zdaje mi się, jak gdyby znikł ten przeciąg czasu naszego rozstania.

L I E S H E I M.

I ja sędzę, żeśmy się nigdy nie rozłączali. (*uściski.*)

F R I T Z.

I ja kiedyś tak ścisnąć się będę z moim ojcem, jak z wojska powrócę, ah, żeby to ja już powrócił!

(MÜLLENDORF. (*przedstawiając syna*))

Oto mój Ferdynand, siedm lat miał dopiero, jakęś go widział raz ostatni.

F E R D Y N A N D.

Miło mi poznać przyjaciela mojego ojca i czuję, że pozyskanie jego szacunku, będzie mojem najpierwszem staraniem.

L I E S H E I M.

Masz go mój Ferdynandzie. (*całuje go w głowę*)

F R I T Z. (*n. s.*)

No, otóż to grzeczny ojciec, zaraz zarekomendował swojego syna, a mój ojciec to ani myśli o tem. (*przybiega do Liesheima*) Jakże... a ja... niechże i mnie papa przedstawi przecież panu... przyjacielowi...

L I E S H E I M.

W zbytku radości zapomniałem o tobie.

F R I T Z.

Byłem tego pewny, dlatego też właśnie przypomniałem ojcu.

LIESHEIM. (*wskazując Fritza*)

Przyjacielu, mój syn...

FRITZ. (*który się już wyprostował do ukłonnów, ciągnie ojca za suknię usłyszawszy*)

Ale ja już to powiedziałem tym panom, że ja jestem mojego ojca syn, a że też mój ojciec o niczem nie pamięta.

L I E S H E I M.

Wychowany między górami.

FRITZ. (*klaniając się*)

Mam honor...

L I E S H E I M.

Nie posiada ukształcenia miejskiego...

FRITZ. (*j. w.*)

Tak, mam ten honor...

L I E S H E I M.

Więcej zna się na gospodarstwie domowém.

FRITZ. (*dokończając*)

Jak na czém inném... to już się tego panowie domyślą, na co ojciec o tem mówi, — mam ten honor...

L I E S H E I M

Dobre chłopczyko, ale natrętny czasem...

FRITZ. (*po namyśle*)

Nie zrozumiałem... ale mam ten honor...

L I E S H E I M.

Wyrosł jak sosna, ale głupi...

F R I T Z.

Mam ten honor...

L I E S H E I M.

Niedługo pójdzie do wojska, tam się wykrzesze.

F R I T Z.

Dziękuję mój ojciec, zawsze z tą żołnierką. (*idzie do Ferdynanda*) No panie... synu, pana... przyjaciela mojego ojca... ponieważ nasi ojcowie są przyjaciółmi, a zatem wypada, żeby i synowie, ich potomkowie, byli sobie także przyjaciółmi.

F E R D Y N A N D.

Z największą ochotą. (*podają sobie dłonie*)

F R I T Z.

No mój panie przyjacielu... zaprowadzę cię w sąsiedztwa, poznasz nasze dziewczęta, to mi to panie dziewczęta... grubą Karlusię, śmiejącą się zawsze Fritzkę i zyzowatą Katrinę, ta ostatnia najładniejsza; co ja jej się nasprzeciwiam, ha, ha, ha, bo to wystaw sobie panie przyjacielu, ona niby tu patrzy, a tam widzi... ale, ale (*przypominając sobie, przybiega do ojca*), a o mojej siostrze, to ojciec zupełnie zapomniał.



L I E S H E I M.

Właśnie mówię o niej teraz.

FRITZ. (*do Ferdynanda*)

Panie, panie, idź pan słuchać tego co mówili o mojej siostrze, to najciekawsza, bo moja siostra wcale ładna dziewczyna, ale jakoś mi się dziwna wydaje, na przykład ona wszystko śmiesznie robi...

F E R D Y N A N D.

Cóż takiego? czy możnaby ją widzieć.

F R I T Z.

Ja ciebie przyjacielu z nią zaprzyjaźnię, ale ostrzegam cię zawczasu, nie spodziewaj się, żebyś ją znalazł tak u... te... niby wy... jak ja... oho nie... ona chodzi, ale po górach to nie umie tak skakać jak ja, nawet Frytzka tak nie potrafi, raz chciała skoczyć i upadła, ale jak... (*śmieje się*) pst... pst... potem moja siostra nie umie się nawet tak kłaniać jak inne dziewczyny z wsi, na przykład tłusta Karlusia jak dygnie, to jest na co spojrzeć, ledwo co nie usiądzie na ziemi, moja siostra to tylko tak. (*dyga*)

F E R D Y N A N D.

Jakże się nazywa twoja siostra?

L I E S H E I M.

Nie pytaj się go Ferdynandzie, z nim się nie dogadasz, on ci do jutra będzie bąbał...

**F R I T Z.**

Bo mam dobrą pamięć i nie zapominam o nikim... (*do Ferdynanda*) o co się pan pytałeś?

**L I E S H E I M.**

Pójdźmy przyjacielu, Ferdynandzie pójdź z nami, wypocznijcie sobie z podróży, kiedy jutro dalej w drogę udać się macie. (*odchodzą*)

**F R I T Z.** (*zatrzymuje odchodzącego Ferdynanda*)

Jakto, panie Ferdynandzie, to pan już jutro wyjedzie?

**F E R D Y N A N D.**

Tak jest.

**F R I T Z.**

To niech pan dziś ze mną pogada.

**F E R D Y N A N D.**

O czémże?

**F R I T Z.**

Niby to pan nie wie, o czém my przystojni kawalerowie, nie żonaci zawsze rozmawiamy.

**F E R D Y N A N D.**

Aha, rozumiem, więc o tem chcesz mówić?

**F R I T Z.**

Nie o tem, lecz o niej. Pan spojrzawszy na mnie, powinienes się był domyśleć...

**F E R D Y N A N D.**

No, niechże się dowiem...

**F R I T Z.**

Kocham szalenie...

F E R D Y N A N D.

Kogo?

F R I T Z.

Śliczną dziewczynę, ma oczki koloru jak wiśnie dojrzałe po wierzchu, a czerwona jak wiśnia w środku, zęby białe jak z kości, nosek jak... mój, figurkę jak... ja, słowem, zupełnie druga ja, tylko o połowę niższa odemnie, ale za to drugie tyle grubsza, i nazywa się tak jak ja... (*z umileniem*) Frytzka.

F E R D Y N A N D.

Cóż żądasz odemnie?

F R I T Z.

Ja umiem się kręcić koło niej, tylko nie wiem, jakby się jej zdeklarować, potem to ja już będę umiał...

F E R D Y N A N D.

Więc chcesz, abym ja cię nauczył?

F R I T Z.

Ehe.

DWUSPIEW. NRO 2.

F E R D Y N A N D.

Skoro ujrzysz swoją Frytzkę,

Więc zaraz do niej tuż,

Skłoń się nisko, zdjawszy myckę.

F R I T Z.

To robiłem już.

**F E R D Y N A N D.**  
Gdy masz olej w głowie,  
**F R I T Z.**

Oh!

**F E R D Y N A N D.**  
Zręczne zalecanie.

**F R I T Z.**

Ah!

**F E R D Y N A N D.**  
Kocham, dziewczę powie.

**F R I T Z.**

Oh!

**F E R D Y N A N D.**  
Otóż i kochanie!

**F R I T Z.**

Otóż i kochanie!

**F E R D Y N A N D.**  
Chociaż mówi nawet wielu

Ślub troski zaczyna;

I nie jeden po weselu...

**F R I T Z.**

Wesele przeklina.

**F E R D Y N A N D.**  
A gdyby tak było,

**F R I T Z.**

Ah!

**F E R D Y N A N D.**  
Żal mi cię nieboże.

**F R I T Z.**

Oh!

**F E R D Y N A N D.**

Rogaty, aż miło.

**F R I T Z.**

Aj, aj!

Nie, to być nie może!

Nie to być nie może, dla czego bym ja miał zostać rogatym, dla czegoż mój ojciec, miał żonę, i długo nawet miał żonę; bo jeżeli dobrze pamiętam, to jeszcze nim na świat przyszedłem; a rogów przecież do dzisiejszego dnia nie ma.

**F E R D Y N A N D.**

Bo widzisz mój Fritzku, te rogi kryją się starannie!

**F R I T Z.**

Ale mój ojciec ich nie ma, żeby nawet jak szpilki były, tobym ich zobaczył, ale zkadże one się biorą te rogi?

**ŚPIEW NR 3.**

**F E R D Y N A N D.**

Nasz świat ma przyjaciół wielu,

Więcej nawet niż potrzeba,

I każdy mąż po weselu,

By ich nie miał, prosi nieba.

Ale to wszystko nie nada,

Wstrętem się ich nie pozbędzie,

Kto ładną żonkę posiada,

Mnóstwo przyjaciół mieć będzie.

19\*

F R I T Z.

No i cóż to mają za związek, rogi z przyjaciółmi, owszém ja lubię przyjaciół.

F E R D Y N A N D.

Ty w tym względzie możesz być spokojnym. Frytzka podług twojego opisu sądząc...

F R I T Z.

Będzie miała przyjaciół i musi mieć przyjaciół, cóż to, czy ja się ożenię żebym sam na sam z nią siedział jak dwoje indyków pod strychem.

F E R D Y N A N D.

To już od ciebie zależć będzie. (*odchodzi, wzruszywszy ramionami.*) Takich to mężów teraz potrzeba.

## SCENA V.

F R I T Z. (*sam, po niejakiój pauzie*)

No i powiedzże mi pan przyjaciel... a on poszedł sobie i zostawił mię w najciekawszem miejscu o rogach. I on wyjeżdża, szkoda, byłby mi może poparł sprawę u Frytzki, ona zawsze woła na mnie: »ty papło, papło« żeby usłyszała tego niemowę, jak on nic nie mówi, to naturalnie, żeby mnie przeniosła nad niego... ale ona mię i tak kocha.

SPIEW NRO 4.

Pomnę tę chwilę drogą,  
Gdy kwiatki w wieńce wiała,  
Ze nie było nikogo,

Więc że mną wciąż mówiła.  
Gdy grają na gitarze,  
Tańczę z nią w jednej parze.

Gdy idziem do kościoła,  
Mnie do kompaniji woła.

Czasem gdy rozpalony,  
Bo wiem co miłość żywa,  
Czułe prawie androuy,

Ona wtenczas poziewa.

Kiedy ją o co proszę,  
Wzdraga się, lecz po trosze;

A gdy mówię do ucha,  
Wtenczas mię już nie słucha.

Otóż to właśnie o to mi idzie, chciałem, żeby mi w tem dopomógł pan Ferdynand, ale cóż, jutro wyjeżdża, a tak prędko to nie można... potem ja znowu pójdę do tych przeklętych żołnierzy, tam muszę być z jakie kilka dwanaście lat, może się przez ten czas Fritzka ożeni. No, to będzie inna, wtenczas nie będę już taki jak

teraz, nie Frytz, Frytzek, ale Pan Frytz. Wró-  
 cę z wąsami, tak jak mój ojciec... front... jak  
 mój ojciec... krzyknę... jak mój ojciec... taki  
 sobie będę chwata... jak mój ojciec... uśmiechnę  
 się do której... jak mój ojciec... czasem... jak  
 mój ojciec. Eh namyśliwszy się, to skorzystam  
 u żołnierzy, ale krysy nie chcę mieć na czole  
 jak mój ojciec, djabli mi tam potém, kryso-  
 waty, eh... będzie mię tam kto pałaszem kryso-  
 wał po czole, a broń Boże, trochę niżej toby  
 był i oko wyjął, i dopiero Fritz wraca bez o-  
 ka... ale ho i mój ojciec winien, czego było stać  
 widząc tamtego z pałaszem, w nogi...

## SCENA VI.

FRITZ, LIESHEIM, HENRJETTA.

LIESHEIM. (*wchodząc z Henrjetta*)

Trzeba oddalić tego gadułę.

F R I T Z.

Czy to mnie ojciec tak nazywa, wcalem się  
 tego niespodziewałam.

H E N R J E T T A.

Doprawdy?

F R I T Z.

A naturalnie, może ja ci powiedziałam to  
 wszystko co wiem, czy mówiłam ci—aha—nie!..



ŚPIEW NRO 5.

Ja zamykam oczy,  
Ze nasz Wilhelm młody  
Często z pola zboczy  
Gdy Hanka u wody.

(*mówi*) Czy mówiłem o tem?

Albo o Karlusi,  
Tej skromniutkiej trusi,  
O sąsiedzce naszej,  
Co to mężem straszy.

(*mówi*) A nikt go nie widział.

Choć wiem, że Johanek  
Johanek kochany,  
Stłukł sąsiadce dzbanek,  
Niby był pijany.

(*mówi*) Nie mówię nic przecię.

O ślepym Karolu  
Czy mówiłem kiedy,  
Ze szczęście, iż był w polu,  
Ktoś uniknął biedy.

(*mówi*) Nie bąknę i słowa.

Ze Katrina rano  
Wróciła do domu,

A gdzie ja widziano,  
Nie mówię nikomu.

(mówi) Nacóż mam to gadac?

LIESHEIM. (*który się w ciągu téj śpiewki niecierpliwił, siada, później wstaje, i przerywa mu przy końcu dwóch ostatnich zwrotek, tak jednak, aby zdawało się, że to co Fritz mówi, jest odpowiedzią.*)

L I E S H E I M.

Skończyłeś nareszcie.

F R I T Z.

Oh nie... wypocząłem sobie. (*chce znowu zacząć śpiewać, muzyka zaczyna grać. Liesheim przerywa*)

L I E S H E I M.

Cichoż bądź, chcę pomówić z Henrjetą.

F R I T Z.

Dobrze, niech ojciec mówi, a ja do swojego, co zacznę, to muszę dokończyć.

L I E S H E I M.

Idź do izby, może cię będą potrzebować.

F R I T Z.

Przecież wiedzą jak się nazywam, to mię zawołają.

LIESHEIM. (*groźno dając znak aby odszedł*)

Czy rozumiałeś?

F R I T Z.

Zrozumiałem.

L I E S H E I M.

No, czegoż więc stoisz?

F R I T Z.

Albo ojciec co mówił o odejściu?

L I E S H E I M.

Precz!

F R I T Z.

Idę... (*w głębi staje*) Zrozumiałeś?... precz... i ja tak będę mówił, jak przestanę być żołnierzem i będę miał takiego Fritzka jak mój ojciec, o, musi mię słuchać, bo inaczej...

L I E S C H E I M. (*widząc, że jeszcze stoi, uderza go*)

Przecz mówię.

F R I T Z.

Aj, aj! precz mówię. (*czyni poruszenie jakby uderzał*) i pójdzie precz (*na wpół z płaczem odchodzi.*)

L I E S H E I M.

Jesteśmy sami, no cóż mi miałaś powiedzieć?

H E N R J E T T A.

Pozwól ojczu wyznać wszystko przed tobą.

L I E S H E I M.

Cóż takiego?

H E N R J E T T A.

Kiedym była u mojej ciotki, bywał u nas pewien młody człowiek, bardzo przyjemny, układna postać, grzeczne słówka, zajęły moje serce.

L I E S H E I M.

Pokochałaś go?...

H E N R J E T T A.

Tak mój ojciec, i on poprzysiągł mi miłość dożgoną; młoda, bez doświadczenia wierzyłam jego przysiędze. — Niewdzięczny! opuścił mnie dla innej. W tej to chwili, kochany ojciec, pisałam do ciebie, abys mi jak najprędzej zalecił opuścić to miasto, w którem poznałam krótką rozkosz, a długie cierpienia miłości.

L I E S H E I M

Ale powiedz mi dla czegoż to wszystko teraz mi wyznajesz, kiedy pięć lat już upłynęło od twojego z miasta powrotu, a ty dotychczas tałaś to wszystko.

H E N R J E T T A.

Bo myślałam, że go już nigdy widzieć nie będę; cierpiałam skrycie i niechciałam z tobą mój ojciec cierpienie moich dzielić.

L I E S H E I M.

No i widziałaś go znowu... chciałbym poznać tego panicza, nauczyłbym go, co to pogardzać krwią proja...

H E N R J E T T A,

Co słyszę?

L I E S H E I M.

Widziałaś go Henrjetto!

H E N R J E T T A.

Widziałam.

L I E S H E I M.

Gdzie?

H E N R J E T T A.

Obawiam się twojego gniewu.

L I E S H E I M.

Gdzie? czy odpowiesz mi dziś?

H E N R J E T T A.

Tu.

L I E S H E I M.

Tu?

H E N R J E T T A.

Tak, tu. Pan Ferdynand, syn pana Müllendorfa.

L I E S H E I M.

Co, ten młodzik? idę natychmiast do jego ojca.

H E N R J E T T A.

Wstrzymaj się...

L I E S H E I M.

Nie... nie... musi być ukaranym,

H E N R J E T T A.

Dobrze więc... pozwól niech ja go ukarzę. Posłuchaj mnie ojcze, mówiłam ci, że nie wątpię o sercu Ferdynanda; pozwól mi go więc doświadczyć.

L I E S H E I M,

Jakimże to sposobem?

H E N R J E T T A.

Zmienię moje imię, Ferdynand mię pozna, ja udawać będę, zem go nigdy nie widziała. Henrjetta kochająca Ferdynanda zmieni się w obojętną dla niego Karolinę, kochać będzie innego.

LIESHEIM. (*zapomniawszy się*)

A to dobrze, obudzisz w nim zazdrość. Ciesz się Müllendorfie, nasze układy przyjdą do skutku.

H E N R J E T T A.

Jakto układy, mój ojczcze?

L I E S H E I M.

Tam do kata, zapomniałem się.

H E N R J E T T A.

Miałżebyś wiedzieć...

L I E S H E I M.

Tak Henrjetto, wiedziałem o wszystkiém. Związek twój z Ferdynandem już od lat waszych dziecinnych był ułożonym. Jednakże świadomy, jak często związki przez ojców zamierzane, na niczém się kończą, wysłałem cię niby dla edukacji do twojej ciotki, do której także niby przypadkiem uczęszczał Ferdynand. Kiedyś napisała do mnie, oświadczając chęć powrotu, doniesiono mi, że Ferdynand opuścił cię. Ale Müllendorf dziś właśnie mówił mi, że on często z żalem wspominał twoje imię, że starannie wypytywał się, w które udałaś się strony, jeździł nawet kilkakrotnie w okolice, chcąc wyszukać ciebie,

HENRJETTA. (*z radością*)

Nie zapomniał więc o mnie!

L I E S H E I M.

Ale ty zapominasz się moja... Karolino, miałaś być obojętną, zakochaną w kim innym, któż więc będzie przedmiotem tej miłości?

H E N R J E T T A.

Fritz.

L I E S H E I M.

Fritz?.. ale on go pozna, przecież mówił z nim.

H E N R J E T T A.

Bądź spokojny mój ojciec... umów się tylko z panem Müllendorfem, żeby nie popsuł mojego planu.

## SCENA VII.

FRITZ (*wbiegając*). LIESHEIM, HENRJETTA.

F R I T Z.

Papo, ojciec, pan Müllendorf cię prosi, chciał tu przyjść, ale ja powiedziałem, że nie można; dla czego? zapytał, bo papa ma konkurencję z córką.

L I E S H E I M.

Głupiś...

F R I T Z.

Dobrze... (*wracając do swego*) bo czyż nie naturalnie mój ojciec, że kiedy mnie, który mam honor być synem mojego ojca, nie wolno było słuchać rozmowy ojca z siostrą, tem bardziej jeden pan Müllendorf słyszeć jej nie

powinien. Bo przecie, jak mi się zdaje, syn należy do familji, a pan Müllendorf, będąc tylko przyjacielem, nie należy do familji, i interessów familijnych wiedzieć nie powinien. (*Liesheim odszedł. Fritz spostrzegłszy to, odwraca się do siostry i kończy to do niej, co zaczął mówić do ojca*) nieprawdaż mój ojcze... nieprawdaż moja siostro?

H E N R J E T T A.

Tak, prawda.

F R I T Z.

Teraz muszę iść.

H E N R J E T T A,

Gdzie?

F R I T Z.

Do mojej Fritzki, i mojego nowotnego przyjaciela zaprowadzę do niej.

H E N R J E T T A.

Po co?

F R I T Z.

Po co? ja wiem po co, a kiedy wasanna nie wiesz, to widać, że niepotrzeba, abys o tem wiedziała.

H E N R J E T T A.

Czy ty kochasz Fritzkę?

F R I T Z.

To nie dosyć, że ja ją kocham, ale i ona mię kocha; ja też zaprowadzę pana Ferdynanda, żeby lepiej tę rzecz rozpoznał, czy ja mam pan-



nę Fritzkę kochać jeszcze dalej, czy też teraz dać pokój miłości, i aż po powrocie od żołnierzy wziąć się do niej.

H E N R J E T T A.

Ale ja ci mam coś powiedzieć...

F R I T Z.

No, to ja też przyjdę niedługo, jak go do niej zaprowadzę, to zaraz będą moje uszy na twoje usługi; będę cię słuchał tak długo, dopóki pan Ferdynand nie wróci z rozpoznania stanu naszej miłości.

H E N R J E T T A.

Ale mój Fritzku, siostra cię prosi...

F R I T Z.

Ale moja siostró, brat cię prosi, dla tego puść mię Henrjetto...

H E N R J E T T A.

Mów ciszej, ja się nie nazywam już Henrjetta.

F R I T Z.

A to znowu co nowego, a jakże się ty teraz nazywasz?

H E N R J E T T A.

Karolina.

F R I T Z.

Karolina? fiu, fiu, i cóż to ma znaczyć, jakto? więc ja już nie jestem twoim bratem?

H E N R J E T T A.

Nie, moim kochankiem.

F R I T Z.

Ah moja siostró... a cóż ojciec na to powie?

H E N R J E T T A.

Nic, ojciec zezwolił...

F R I T Z.

A pastor?

H E N R J E T T A.

Nic.

F R I T Z.

Nic? eh ty sobie ze mnie żartujesz, a ja temu wierzę, gdzieby też tobie taka głupia myśl przyszła do głowy!

H E N R J E T T A.

Żeby cię za kochanka obrać?...

F R I T Z.

Ale... z kąd się wzięło, to prawda, żeś ładniejsza od Fritzki, ale Fritz i Fritzka, musi być małżeństwo.

H E N R J E T T A.

Ale to tylko dla żartu... i to w obecności Ferdynanda.

F R I T Z.

Aha... rozumiem... domyslałam się, ty chcesz, żeby mi pozazdrościł, że ja mam tyle kochanek... ale on tego nie weźmie za żart... on uwierzy, że ja twoim kochankiem.

H E N R J E T T A.

Czy tak sądzisz?

F R I T Z.

Alboż to co niepodobnego?... skaczę jak koza dzika, rąbię drzewo jak... chłop... śpiewam jak słowik... cóż chcesz więcej?

FERDYNAND. (*w kulisie*)

Fritzku, Fritzku!

F R I T Z.

Otoż widzisz, zniecierpliwił się, miał iść zemną do Fritzki, teraz mię woła, co mu powiem? eh, lepiej pójdę...

H E N R J E T T A.

Ojciec ci kazał zostać.

F R I T Z.

Boże, ten ojciec, sam już oto ma dzieci co patrzą na żony i mężów, a umizga się jeszcze, a mnie to nie pozwala.

## SCENA VIII.

FRITZ, HENRJETTA. *później* FERDYNAND.

H E N R J E T T A.

Nadchodzi, pójdźmy. (*bierze Fritzka za rękę i ciągnie w kulisę*) Dobrze, wieczorem tu pod górą.

F R I T Z.

Ehe, pod górą. (*wybiega*)

HENRJETTA. (*spostrzegłszy, że się Ferdynand zbliża, spiesźnie odchodzi i natychmiast idzie na przeciwną stronę.*)

## F E R D Y N A N D.

Ładne jakieś stworzenie, ale, jak uważam, to i tutaj kobiety nie są nielitościwe; pozwalają swoim kochankom widzieć się ze sobą sam na sam. Piękną miała figurkę, żałuję że twarz nie dostrzegł, ale i cóżby mi z tego przyszło? Poprzysiągłem sobie nie kochać już więcej, czuję już, iż zbyt wiele przyrzekłem, ale dotrzymam mojej przysięgi. (*słychać riturnelę na gitarze następującej śpiewki*) Co slysze! możeż to być? wszakże to ten śpiew, którego z takim uniesieniem słuchałem, ilekroć grała go Henrjetta. Ah, jakież on uczucia obudza w sercu mojem? O Henrjetto, wszystko zniknie z mojej pamięci, ale twoją dobroć, szczerłość, przywiązanie, nie wygładzić nie zdoła. Nie widzę nikogo... zaśpiewajmy tę piosnkę, którą zawsze przy niej nuciłem.

## S P I E W N R O 6.

Jak śnieg co na górach leży,  
 Tak Alp dziewic serca czyste,  
 Jak szmer strugi, co doliną bieży,  
 I wody jego przezroczyste,  
 Tak miłym tych dziewic głos,  
 Tak błogim jest z niemi los.

HENRJETTA. (*za sceną*)

Tak miłym tych dziewic głos,

Tak błogim jest z nami los. (*przegrywka*)

F E R D Y N A N D.

Ha! to już za wiele! nie, to Henrjetta być musi... ten głos... Boże! gdzież to ja jestem! Jestże to snu marzeniem, czy rzeczywistością. O Henrjetto! przebacz nierozważnemu.

## SCENA IX.

HENRJETTA, FERDYNAND.

*Henrjetta wychodzi zwolna z przeciwnéj strony, gdzie jéj głos słyszeć się dawał, i nie zważając bynajmniej na Ferdynanda, idzie do chaty)*

FERDYNAND. (*spozrzeglwszy ją*)

O Nieba! co widzę? to ona?!

HENRJETTA. (*niby zawstydzona, kłaniając się*) Tak, ja to jestem Karoliną, córka Liesheima. czegoż chcecie dobry panie?

FERDYNAND. (*wpatrując się w nią pilnie*)

Nie! to nie ona.

H E N R J E T T A.

Jakto nie ona, nie rozumiem, owszem ja to jestem, ja sama.

F E R D Y N A N D.

Sam nie wiem co się zemną dzieje... powiedz

mi, luba dziewczyno, czy to twój głos odzywał się przy dźwięku gitary.

H E N R J E T T A.

Nie, ja byłam tam pod górami, i zdawało mi się że głos mężczyzny słyszała w tej stronie, mniemałam że...

F E R D Y N A N D.

Dokończ lube dziecię...

H E N R J E T T A.

Śmiać się pan będziesz ze mnie, ale my nie tajemy nigdy naszej miłości. A potem mój ojciec już zezwolił na nasz związek, wkrótce odbędzie się moje wesele... Dobry panie, gdybyście się chcieli zatrzymać u nas, bardzoby mi to przyjemnie było ..

F E R D Y N A N D.

Nie mogę jej dłużej słuchać... w głowie mi się mięsza, to podobieństwo przechodzi moje pojęcie.

H E N R J E T T A.

Odwracacie się odemnie, czy moja prośba wam nie miłą, darujcie Karolinie. (z znaczeniem) Ona mówiła to, co czuła, a wy zdajecie się się nie wierzyć.

F E R D Y N A N D. (*siada*)

Ah!

H E N R J E T T A.

Cóż to wam dobry panie, zdajecie się być znużonym, pobiegnę do ojca, on - wam pomoże.

F E R D Y N A N D. (*wstając*)

Nie, nie droga Henrjetto!

H E N R J E T T A.

Henrjetto! (*ogładając się*) Do kogóż to mówicie? U nas w całej wiosce nie ma żadnej Henrjetty, ale co ja też mówię, ja mniemałam w tej chwili że tylko w naszej wiosce są dziewczęta.

F E Y D Y N A N D.

Ah Karolino! gdybyś wiedziała ile twój widok cierpień we mnie obudza.

H E N R J E T T A.

Czy tak?... mnie zaś przeciwnie, wasz widok radością przenika.

F E R D Y N A N D. (*wpatrując się w nią*)

Czy doprawdy... ah gdybyś czuła co ja czuję w tej chwili.

H E N R J E T T A. (*lekko*)

Kto, wie może nasze uczucia panie, nie są tak różne jak mu się zdaje.

F E R D Y N A N D.

Co mówisz?

H E N R J E T T A.

Tak jest serce Karoliny, zajęte jest przed-

miotem miłości, i wasze zdaje się być pełnem jakiejś Henrjetty, a więc: czyliż nie jedno nas uczucie zajmuje?

F E R D Y N A N D.

Karolino, czy odpowiesz mi szczerze?

H E N R J E T T A. *(z znaczeniem)*

Nigdy nie kłamałam... u nas nieznanem jest kłamstwo, w mieście tylko, jak słyszałam, jest zwyczajną monetą.

F E R D Y N A N D.

A ty nigdy w mieście nie byłaś?

H E N R J E T T A. *(z wolna)*

Karolina nigdy nie opuszczała swęj rodzinnej zagrody, ale zkądże to pytanie?

F E R D Y N A N D.

Ah, tak jesteś podobną do tęg Henrjetty, którą kochałem, którą kocham dotychczas, której zaprzysiężoną miłość płocho zdradziłem!

H E N R J E T T A.

Jakże ona musiała być nieszczęśliwą!

F E R D Y N A N D.

Czuję jęj cierpienia.

H E N R J E T T A.

Dla czegóż, panie, nie wróćicie do nięj, kiedy miłość jeszcze w sercu waszem nie wygasła?

F E R D Y N A N D.

Ah Karolino! Jak miło mi patrzeć na ciebie.



H E N R J E T T A.

A niedawno słyzałam, że mój widok cierpienia w was obudza.

F E R D Y N A N D. (*biorąc jej rękę*)

Byłem z nią tak szczęśliwy, godziny tak mi prędko upływały. (*przyciska jej rękę do serca*)

H E N R J E T T A.

Ale dla czegoż przyciskasz pan moją rękę do swojego serca?

F E R D Y N A N D.

Na dowód, że prawdę mówię, ty jesteś tak podobną do Henrjetty, że zapominam się przy tobie.

H E N R J E T T A.

Musiałeś pan więc w mieście bardzo wiele znaleźć do niej podobnych, kiedyś o prawdziwej zupełnie zapomniał.

F E R D Y N A N D. (*przyciskając ją do serca*)

O nie, nie zapomniałem o niej, nigdy nie zapomnę, ale można i o niej pamiętać i Karolinie przyznać, że ładna.

H E N R J E T T A,

A Henrjetta?

F E R D Y N A N D.

Karolino, w tobie kocham Henrjetkę.

H E N R J E T T A.

Ja tego o panu powiedzieć nie mogę. (*wyry-*

*wa się i ucieka. Ferdynand chce biedz za nią, wchodzi Müllendorf.)*

## SCENA X.

FERDYNAND, MULLENDORF.

M U L L E N D O R F.

A gdzie to, gdzie, tak pilno... cóż to, czy znowu zaczynasz miłości? spodziewam się, że mój syn nie zapomni czem jest.

F E R D Y N A N D.

Mój ojcze, gdybyś ją widział, jak jest piękną, zupełnie do Henrjetty podobną.

M U L L E N D O R F.

Do Henrjetty? ah to Karolina, córka Lieshei-ma, prawda, uważałem i ja to, że ma bardzo wiele z nią podobieństwa... ale co to za ruch, co za figura, jaka mowa; oh, oh, wielka różnica, tamta była dziewczyna jak róża.

F E R D Y N A N D.

Ah mój ojcze, to się nie dobrze przypatrzy-łeś Karolinie, ona równie jest piękną, nawet twarz jej więcej mająca prostoty, więcej także ma przyjemności; Henrjetta była wykształce-niem samem, Karolina samą naturą, tamta po-siadała to wszystko, czem zmysły zająć można, ta duszę zajmować umie.

M Ü L L E N D O R F.

Ho, ho, ho, mój Ferdynandzie, a to co się  
znaczy? Jakto, już zapominasz o Henrjecie?

F E R D Y N A N D.

Ah, nie, jedna tylko Karolina!

M Ü L L E N D O R F.

Tak, dziś tu jedna, a jutro, jak w innym  
miejscu staniemy...

F E R D Y N A N D.

Jakto, mój ojcze, jutro wyjeżdżamy?

M Ü L L E N D O R F.

Tak jest, jutro.

F E R D Y N A N D.

Ah, ja się ztąd nie oddalę.

M Ü L L E N D O R F.

Dosyć tego... czy ty myślisz, że ja zezwolit-  
bym kiedykolwiek na podobny związek?... nie,  
nigdy.

F E R D Y N A N D.

Czyliż przyjaźń tak mało cenisz mój ojcze?

M Ü L L E N D O R F.

Kocham Liesheima, ale Karolina nigdy nie  
będzie twoją żoną, Henrjetta nią być musi.

F E R D Y N A N D.

Henrjetta!... ależ Henrjetty nie ma, gdzież jej  
szukać?

M Ü L L E N D O R F.

A jak się znajdzie?

F E R D Y N A N D.

Mój ojcze... ja już nie kocham Henrjetty.

## M Ü L L E N D O R F.

Otóż to mi głowa... czyś ty chłopcze owarjował? Nie będzie nic z tego, jutro zabieram cię z sobą, oto jest moje ostatnie słowo: Henrjetta, albo nikt. Teraz czyń co ci się podoba. *(odchodzi)* Kochany chłopiec, nie domyśla się niczego.

FERDYNAND. *(sam)*

Henrjetta, albo nikt. Nie bardzo przyjemny wyrok, ale znam mojego ojca, nie będzie przecie żądał nieszczęścia swojego Ferdynanda. Jednakże jutro wyjeżdżamy, a co gorsza, że Karolina ma już przeznaczonego dla siebie męża, przyrzekła mu nawet sam na sam, to będzie trochę przy trudno. Ale cóż u kata, dać się zwyciężyć w miłości jednemu wieśniakowi! — O nie!... co za wyborna myśl, jeżeli dobrze pamiętam, mówiła: wieczorem tu pod górą. Wieczorem wszystkie koty szare, a więc brawo, precudownie, i mój ojciec mię nie pozna. *(wybiega)*

## SCENA XI.

HENRJETTA, MÜLLENDORF, LIESHEIM.

L I E S H E I M.

No cóż moja Henrjetto, kiedy Ferdynand po-

wraca wierny tobie, ja mniemam, że już dosyć przeświadczenia i chluby. Idź więc przygotować ubiór Henrjetto, ten, w którym z miasta powróciłaś.

**HENRJETTA.**

Mój ojciec, jeszcze nie ma nic pewnego.

**MÜLLENDORF.**

Ze też te kobiety, to zaraz chcą dowodów, no, dzisiaj odbędą się zaręczyny, a czegoż więcej żadasz? Za powrotem moim odprawimy wesele. Czy jeszcze nie dosyć?

**LIESHEIM.**

No dalej, dalej.

**HENRJETTA.**

Idę mój ojciec... ale...

**LIESHEIM.**

Czy jeszcze ale, mnie się zdaje, że ty nawet jeszcze po ślubie będziesz mówić ale.

## **SCENA XII.**

**POPZEDZAJĄCY, FRITZ.**

**FRITZ.**

Ha, ha, ha!

**LIESHEIM.**

A ty czego tak się śmiejesz?

**MÜLLENDORF.**

Powiedźcie nam przecie.

**HENRJETTA.**

Gdzież pan Ferdynand?

F R I T Z.

Otóż właśnie ja z niego się śmieję. Ale czemu się państwo nie śmiejecie, prawda jak on śmiesznie będzie wyglądał?

H E N R J E T T A.

Nic nie rozumiem.

F R I T Z.

Na cóż rozumieć, to tylko widzieć potrzeba. Ubiór będzie miał taki sam jak ja, ale, gdzie ani podobny do mnie.

M Ü L L E N D O R F.

Czy powiesz nam nareszcie co to znaczy?

F R I T Z.

Ha, ha, zobaczycie państwo, a to mi dopiero śliczna figura!

M Ü L L E N D O R F.

Ale mój Fritzku, objaśnijże nas, kto się przebiera? z kogo się śmiejesz?

F R I T Z.

Ah mój Boże wszakże już powiedziałem, że pan Ferdynand. Jakem go tylko spostrzegł, bo właśnie z moją Fritzką w najlepsze rozprawiałem pod tym wielkiem drzewem, domyśliłem się zaraz, że on mi idzie dopomagać, i Fritzka musiała się domyśleć, że on moję nieśmiałość ma przed nią ośmielać, bo zaraz dygnęła i zaczęła się jak ogień. Ale on zawołał mię

do siebie: Słuchaj Fritzku, postaraj się dla mnie o ubior wiejski. A to na co spytałem. Kocham twoją siostrę, odpowiedział. A to i w surducie można kochać, odpowiedziałem. On, ja się tu z wami zostanę, odpowiedział. Chciałem mu jeszcze odpowiedzieć, ale on zawołał: prędko, prędko, jak najprędzej. Więc go zaprowadziłem do Johana, on miał nowiuteńką suknię, kupił ją i ubiera się. Teraz pewno już rozmawia z moją Fritzką, przysłał mi tu po coś, ale zapomniałem; ale do diabła! nie kazał mi ani słowa wspomnieć o tem przed państwem. Ja też byłbym nie powiedział, gdybyście państwo nie byli zapytali.

H E N R J E T T A.

Domyślam się co to znaczy, pamiętasz Fritzku com mówiła do ciebie kiedyś odchodził?

F R I T Z.

Aha... nie, nie pamiętam.

H E N R J E T T A.

Wieczorem pod górą.

M U L L E N D O R F.

Więc on to musiał słyszeć i teraz chce niespodzianie...

H E N R J E T T A.

Tak, pewna jestem.

L I E S H E I M.

Fritzku, idź zHenrjetą, będziesz jej zapewne potrzebny.

F R I T Z.

Ja nie mam czasu, muszę iść.

L I E S H E I M.

Gdzie?

F R I T Z.

Ze też mój ojciec nie domyśli się niczego, gdziez Fritz ma iść, gdzie? jeżeli nie do Fritzki.

L I E S H E I M.

A ja ci każę iść do domu z Henrjetą, i robić to wszystko co ona ci powie.

F R I T Z.

To trzeba będzie znouu jej kochanka udawać.

L I E S H E I M.

Ani słowa, precz.

F R I T Z.

Idę, precz, precz, ah mój Boże, pocóż też te ojcowie na świecie? *(odchodzi)*

M Ü L L E N D O R F.

Ale mójFerdynand... przebierać się... ha, co też to w tych młodych głowach.

L I E S H E I M.

Daj no pokój, przypomnij sobie raczej młodsze lata.

M Ü L L E N D O R F

Oj prawda, moja nieboszka żona we dwie niedziele po ślubie... biedaczka, ani się mogła spo-



dziac... aj co się też wyrabiło... ba, i kawalerem jeszcze będąc...

L I E S H E I M.

Czy przypominasz też sobie moją żonę, ładna to była kobiecina, ale zazdrosna, aj, aj, jaka zazdrosna! wieczór jak wyszedłem, aha, już ci drzwi od izby uchylone.

M Ü L L E N D O R F.

Alebo też i tobie bracie nie było można wiele ufać, już miałeś się żenić — a pamiętasz tę... co na drugim piętrze mieszkała... ale później jakże było z twoją żoną, ty cały dzień zajęty pracą, nie byłeś przy niej.

L I E S H E I M.

Tém miléj było potem widzieć się wieczorem.

SPIEW NRO 10.

Widzę, nie wiesz mój kochany,  
Jak chwilowe oddalenie,  
Czyniąc w życiu naszym zmiany,  
Ośladza nowe widzenie.  
I nieraz żona dla tego  
Na cały dzień mię wysłała,  
By w wieczór z powrotu mego,  
Cieszyć się sposobność miała.

M U L L E N D O R F.

Wierzę, bardzo wierzę — ale coś nie widać  
naszego przebranego panicza.

FRITZ. (*za sceną*)

Eh moja siostró, dajże mi pokój, ja tego nie  
spamiętam.

### SCENA XIII.

LIESHEIM, MÜLLENDORF, FRITZ, HENRJETTA.

H E N R J E T T A.

Ale mój Fritzku...

F R I T Z.

Nie, nie chcę, czy ja tam uniem... a potem ja  
starszy.

L I E S H E I M.

O cóż to wam idzie?

F R I T Z.

Oto mój Ojciec, Henrjetta... Karolina chce, a-  
żebym ja przed nią klęczał i coś tam mówił:  
»Wkrótce będziemy w śmierci żyli razem« czy  
tam jak, ja i nie spamiętam, i nie mam czasu, bo  
muszę iść po Ferdynanda, ona się przy nim  
znudzi.

L I E S H E I M.

Wieczór się już zbliża — dalej na wasze sta-  
nowisko. Ferdynand zapewne przyjdzie nieza-  
długo. My ukryci w chacie wszystko słyszeć bę-  
dziemy. (*odchodzą*)

F R I T Z.

Otoż mamy, poszli. No, co ja tu będę robił nieszczęśliwy! — Może to jaki zły człowiek ten mój przyjaciel, może się wtobie djabelnie kocha, może zazdrosny, jak mię zobaczy, teraz nie bardzo widno, weźmie za prawdziwego rywala i wybije.

H E N R J E T T A.

Nie obawiaj się niczego... jak tylko go spostrzeżesz, pocałujesz mię i oddalisz się pomału.

F R I T Z.

A czyby nie można przed pocałowaniem oddać się — bo ja mam jakieś przecucie, że to pocałowanie nie najlepiej się powiedzie.

H E N R J E T T A.

Pójdź tylko, pójdź, nie obawiaj się.

F R I T Z.

Idę, idę, nie obawiam się.

HENRJETTA. (*ciągnie go w głąb*)

Zdaje mi się, że już idzie.

FRITZ. (*pocałowawszy chce uciekać*)

HENRJETTA. (*zatrzymując go*)

Ale on nie widział.

F R I T Z.

Ale ja widziałem, że widział — oto stoi przy nas... jak grozi.

HENRJETTA.

Ale to drzewo... on jeszcze daleko, patrz, schodzi z góry...

FRITZ.

No, teraz już widzi...

HENRJETTA.

Ale jeszcze nie...

FRITZ.

Dalibóg widzi...

HENRJETTA.

Cicho, ja będę mówić: o mój najdroższy przysięgam ci, że ciebie jednego tylko kocham i kochać będę do śmierci!

FRITZ.

Ej co mi po tém. Oj, oj, już jest blisko, bliżuténko. (*całuje i ucieka*) Bądź zdrowa!

HENRJETTA.

Pomału.

FRITZ. (*biegnąc*)

Nie skręć karku, nie!

## SCENA XIV.

FERDYNAND *przebrany*. HENRJETTA.

FERDYNAND.

Pięknie, pięknie Karolinō!

HENRJETTA. (*udając przestraszoną*)

Ah!

FERDYNAND.

Tegom się nie spodziewał — przepraszam

przeszkodziłem zapewne, ah jak uważam kobiety na całym świecie wszędzie jednakie; czy wieś czy miasto, wszędzie zdradzają.

H E N R J E T T A.

Nie rozumiem pana; że zdradzać nie umiem, byłeś pan świadkiem, a jeżeli się przestraszyła, to dla tego, że was nie poznała w tym ubiorze — mniemałam że to syn sąsiada.

F E R D Y N A N D.

Syn sąsiada, także jeden z wielbicieli. Ah Karolino! widzę nie jednego masz kochanka.

H E N R J E T T A.

Alboż pan tego o sobie powiedzieć nie możesz?

F E R D Y N A N D.

Zal mi twego narzeczonego.

H E N R J E T T A.

Zal mi Henrjetty.

F E R D Y N A N D.

Dla ciebie Karolino, opuściłem Henrjetę.

H E N R J E T T A.

A mnie opuścilibyście dla innej.

F E R D Y N A N D.

- Nie, nigdy, czyż nie widzisz co czynię dla ciebie. — Mój ojciec z przyczyny nierówności stanów, nie chciał zezwolić na nasz związek, teraz jestem ci równym, dla ciebie wyrzekam się ma-

jątku, miasta, opuszczę wszystko, przy tobie na wieki pozostanę.

**H E N R J E T T A.**

To za późno. Wdzięczna wam jestem za waszą dobroć, ale miłości Karolina przyjąć nie może. Wierna przyrzeczeniu, dotrzymam danego słowa. Wy powróćcie do Henrjetty, a upewniam, że miłość, którą dla was powzięła, dotychczas wiernie dochowuje.

**F E R D Y N A N D.**

Jakże wiesz o tém?

**H E N R J E T T A.**

Kobieta nie tak łatwo wygładza z pamięci, a tém bardziej z serca to, co jej szczęśliwość stanowiło.

**F E R D Y N A N D.**

Boska dziewczyno, poprzysięgam, że ty od-tąd niezmiennie będziesz celem wszystkich uczuć moich.

## **SCENA XV I OSTATNIA.**

**HENRJETTA, FERDYNAND, MÜLLENDORF,**

**LISHEIM, *później* FRITZ.**

**M Ü L L E N D O R F.**

Słyszałem głos mego syna... co ja widzę. Ferdynand!

**L I E S H E I M.**

I moja córka!

M U L L E N D O R F.

W tym ubiorze? co się to ma znaczyć?

LIESHEIM. (*surowo*)

Panie Ferdynandzie, tylko przyjaźń jaką mam dla twojego ojca, zdolna jest wstrzymać mój gniew. Ręka mojej córki, już jest przyrzeczoną.

M U L L E N D O R F.

I waści wiadome także moje ostatnie postanowienie.

F E R D Y N A N D.

Ah mój ojciec, ah panie Liesheim, chcecież mię widzieć nieżywego u nóg waszych. Karolina jest wszystkiem dla mnie, ja jej odstąpić nie mogę.

L I E S H E I M

Karolino, czy kochasz Ferdynanda?

H E N R J E T T A.

Karolina nie zmienia swojej przysięgi.

L I E S H E I M.

Byłem pewny tej odpowiedzi, a więc idź, ubierz się; w przytomności tych panów odbędą się twoje zaręczyny.

H E N R J E T T A. (*odchodząc*)

Ah jakżem szczęśliwa!

F E R D Y N A N D.

Co słyszę! zaręczyny?

L I E S H E I M.

Tak jest panie Ferdynandzie, a to, ażeby go

przekonać, że u nas słowo raz dane jest świętym. Kochany Müllendorfie, miło, że będziesz świadkiem dnia, który ustali przyszłe szczęście mojej córki. Przykro mi jednakże, iż twój syn, którego sposób myślenia dokładnie poznałem, uniesie z miejsc tych nienajprzyjemniejsze wspomnienie. Ale pewny jestem, że nie minie pół godziny, a smutek Ferdynanda zniknie i dawna wesołość miejsce onego zajmie.

F E R D Y N A N D.

Mości panie, zbyt krótką jest nasza znajomość, sądzić z przeszłości nie zawsze jest sprawiedliwie, mogłem być płochym, nie możnaż być stałym.

M Ü L L E N D O R F.

Dosyć tego Ferdynandzie. Ulegam zbyt twojej słabości, jednakże to, com wyrzekł, jest nieodmiennym. Jutro niezwłocznie opuścimy mieszkanie Liesheima, spodziewam się, że moja wola szanowaną będzie, i że nie zmusisz mnie do postępku, który teraz stałby się koniecznym, a którego bym sam później żałował.

F E R D Y N A N D.

Stało się! ojczy. Posłuszeństwo z miłością walczy w mojem sercu, jakiegokolwiek wynikną ztąd



skutki, nie mnie, sobie je w przyszłości przynasz mój ojciec.

FRITZ. (*wbiega*)

Ojciec, papo, co ja słyszałem, ah to szczęście!

L I E S H E I M.

Cóż słyszałeś?

F R I T Z.

To, co tam mówili!

L I E S H E I M.

Kto?

F R I T Z.

Niby to ojciec nie wie, a ten pan cały czarno ubrany, i tyle ludzi co za nim przyszło... moja siostra idzie za mąż... a dziś zaręczyny—ah, żeby to moje były.

F E R D Y N A N D.

Okropnie!

L I E S H E I M.

Zal mi chłopca. (*do Fritzka*) Nie tak prędko mój Fritzku, aż z wojska wrócisz.

F R I T Z.

Czy to ja koniecznie muszę być żołnierzem, a przecież u nas w wiosce tylu ma żony, a w wojsku nie było.

L I E S H E I M.

Aleś ty jeszcze głupi, młody...

F R I T Z.

Aha, to potem będę stary... co też bo i mój ojciec... to dla tego mam iść do żołnierzy...

L I E S H E I M.

Porzuć tę próżną gadaninę!

F R I T Z.

Ale ho szczerze mówiąc, mój ojciec, co ja tam będę robił?

L I E S H E I M.

To co i drudzy.

F R I T Z.

No, słyszana też to rzecz, żeby tyle ludzi jedno robiło, przecie jak ojciec idziesz do obo-ry, to ja już nie idę.

L I E S H E I M.

Ale to wcale co innego.

F R I T Z.

A potem, czy ich mało jest, oni się obejdą bezemnie, prócz tego mnie się zdaje, że choć- bym nareszcie poszedł do żołnierzy, ja im nie wiele pomogę, a co największa, Fritzka, Fritz- kaby tu ojca zapłakała, albo musiałbyś mię oj- cieć wyręczać. Zobaczylibyśmy komuby gorzej było, umizgać się za mnie, biegać po górach, jak która owca lub koza zginie, a czasem jak idziemy razem, a jest jaka struga, to ją muszę przenosić; wiem, wiem, jakby ojcu było, od- rzekłbyś się...

L I E S H E I M.

Porzuć próżną gawedkę, zobacz czy siostra już ubrana?

F R I T Z.

Jeszcze się ubiera, ale płacze,... żeni się i co jej za bieda, nie mówię, żeby miała iść do wojska. Ah czemu ja się dziewczyną nie urodziłem! Ojciec! czyby to nie można jeszcze temu poradzić, żebym ja został panną.

L I E S H E I M.

Głupis — ale siostra płacze mówiłeś?

F R I T Z.

I moja Fritzka często płacze.

ŚPIEW NRO 13.

Kiedy kochanka dostanie,  
Co się zwykle często dzieje,  
Ciągłe żale, narzekanie.  
Nawet łzy obfite leje.

(*głosem kobiecym*)

Ah cierpień staje się łupem!  
Woła, czując miłość żywą,  
Każda jednak tym okupem,  
Pragnie zostać nieszczęśliwą!

Ale co to panu Ferdynandowi, zamysłony, płacze, dalibógci ma łzy w oczach, a fe! ja nie będę płakał jak się z moją Fritzką rozstanę, choć wiem, że jak powrócę, to już pewno Fritzka będzie wdową najmniej po dwóch mężach.

M Ü L L E N D O R F.

Ferdynandzie! stałości, ona wszystko zwycięża.

F E R D Y N A N D.

Wszakże milczę.

L I E S H E I M.

Otoż i moja córka. (*Henrjetta wchodzi przebrana*) Pójdźmy!

M Ü L L E N D O R F.

Powitajże narzeczoną...

F E R D Y N A N D. (*obraca się i z wolna postępuje ku Henrjecie*)

Karolino! żyj szczęśliwa!... (*spozrzęglszy*)  
Wielki Boże! co widzę!

M Ü L L E N D O R F.

Twoją przyszłą żonę!

F R I T Z. (*z radością*)

A więc nie ja, ochłódłem.

H E N R J E T T A.

Henrjetę i Karolinę w jednej osobie.

L I E S H E I M.

Moją córkę.

F E R D Y N A N D.

Cóż wyrówna mojemu szczęściu!

L I E S H E I M.

I nasze jest dopełnionem. (*podają sobie rękę z Müllendorfelem.*)

F R I T Z.

Winszuję panie szwagrze, ale że też nie po-

znałeś Henrjetty, jabym moją Fritzkę poznał,  
choćby do wojska przystała na dragona.

F E R D Y N A N D,

Przebaczasz mi Henrjetto?

H E N R J E T T A.

Czyliż mój ubior nie dowodzi tego?

F R I T Z.

Potem zapomni o wszystkiem.

F E R D Y N A N D,

I ja w moim pozostanę, w nim słubować bę-  
dę Henrjecie, i zachowam go jako najdroższą  
pamiątkę dnia, w którym płochy Ferdynand  
dla Henrjetty, przyrzekł dozgonną wierność Ka-  
rolinie. (*wskazując Henrjetkę.*)

Ś P I E W N R O 14.

F E R D Y N A N D,

Już troski nasze skończone,

Minął smutek, udręczenie,

Oby nie były wznowione,

Przez naszych serc oddalenie.

Miłością cały przejęty,

Zdalam cierpień nieskończenie,

Gdy nas złączy węzeł święty,

Nie chcę znać co oddalenie.

F R I T Z.

Jak pójdę biedny w żołnierze,  
Już się z Fritzką nie ożenę,  
Pewno mi ją kto zabierze,  
O przekłete oddalenie!

L I E S H E I M.

Płacze dostatków bogaty,  
Strata serc wzbudza cierpienie,  
Lecz sroższe nad wszystkie straty,  
Od swych dzieci oddalenie.

H E N R J E T T A.

Mocniej nasz los się ustali,  
Gdy spełnicie te życzenia:  
Abyśmy nigdy nie znali  
Waszych względów oddalenia.

W S Z Y S C Y,

Mocniej nasz los się ustali,  
Gdy spełnicie te życzenia:  
Abyśmy nigdy nie znali,  
Waszych względów oddalenia.

---

KONIEC KOMEDJI I TOMU TRZECIEGO.

*Exemplarzy nie opatrzonych moja cyfrą,  
prawnie poszukiwać będę.*



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Długa 51, 00-248 Warszawa

00-330 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**











F  
1204  
3.